MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 10 WARSZAWA, 1 MAJA 1927 R. CENA NUMERU 1 zł.

KRYZYS CZŁOWIEKA OŚWIECONEGO

CZŁOWIEK dzisiejszy, orjentujący się w stosunkach choćby tylko przy pomocy gazet, ma nad czem się zastanowić. Weźmy przykład z brzegu: czyta w gazecie doniesienie, że w Łodzi zamordowano prezydenta miasta, a potem uwagę, że policja—„skoro tylko się przekonała, że morderstwo nie ma charakteru politycznego,—zaraz zabrała się do śledztwa". Gdyby bowiem miało charakter polityczny... Jednocześnie czyta, że na pogrzebie działacza społecznego nad grobem bojówka socjalistyczna wykonała salwę z rewolwerów w obecności władz. (?) Czyta potem, że wydano rozporządzenie, zmieniające układ na niekorzyść ludności z tow. telefonów, z działaniem wstecz itp. itp.

Człowiek oświecony głęboko się zamyśla. Przypomina sobie najpierw, że nigdy nie interesował się na serjo, skąd państwo czerpie swoją myśl, na czem funduje swoją postawę prawną i moralną. Przywykł jeszcze w czasach niewoli — do gotowego. Państwo jest, działa jak maszyna, kogoś tam głowa boli, aby sprawnie maszyna działała. W czasach wolności dziękował Bogu, że państwo jest własne i że można z niego coś mieć. Dawniej kto inny miał korzyści z niego, teraz my.

Ale przychodzą chwile zastanawiające, bo jeżeli jest prawdą choć w cząstce, co dzienniki donoszą, to co myśleć o kulturze całego społeczeństwa?

Obywatel, zrobiwszy z sobą rachunek sumienia, dochodzi do spostrzeżeń, które mu dotąd do głowy nie przychodziły, że dziwna jest niewspółmierność między strukturą jego własnej duszy a strukturą tej psychiki, którą zawsze widział w państwie. Skąd się wziął taki podział pracy: państwo ma (taka jest jego idea) myśleć tylko o dobru całości, a jednostka myśli tylko o dobru swojem, co najwyżej klasy lub partji. Przecież państwo żyje ludźmi, a jeśli nikt z tych ludzi (przeciętny człowiek oświecony bierze miarę z siebie) o dobru całości nie myśli, to skąd się ta myśl może wziąć w państwie? Było mi to obojętne — myśli obywatel — póki państwo było w ręku obcem, ale teraz zaczyna mnie to pytanie niepokoić.

Myśl zaczyna pracować i dochodzi potrochu do wniosku, że jednak kryzys myśli państwowej w całej Europie bierze początek w kryzysie człowieka. On sam powinien być dla siebie państwem moralnie zagospodarowanem, a on jest ruiną. Poprostu życie państwowe znajduje się w ręku takich ludzi, jak on sam. Nigdy jaśniej nie rozumiał, że człowiek ma takie państwo, na jakie zasługuje.

Na rzut oka widać, że stary typ państwa i nowy typ człowieka są to rzeczy różnych stylów, nie z jednego garnituru. Państwo takiego, czy innego ustroju ma styl idealistyczny. W budowie swej oblicza wszystko na trwanie długie przez pokolenia, a w działalności kierować się musi zasadą celowości i odpowiedzialności, zasadą godności i honoru.

Powstaje w obywatelu pytanie nowe: czy idea państwowa stała się przeżytkiem, niegodnym kultury dzisiejszego człowieka, czy też człowiek zdziczał i stał się niezdatnym do tworzenia własnej narodowej cywilizacji?

Twórczość państwowa przeniosła się w XIX stuleciu z kół nielicznych wybrańców na szerokie sfery. Społeczny demokratyzm tej twórczości był w zmienionych warunkach koniecznością, ale wysunął zagadnienie t. zw. inteligencji, powołanej do kierowania tą twórczością. Człowiek oświecony miał być organizatorem mas powołanych do życia politycznego. Tymczasem ten właśnie człowiek zajął się teorją i praktyką emancypowania jednostki z konserwatywnych więzów dawnego przymusu społecznego. Nawet tam, gdzie nie doszło do walki na rzecz anarchji, idea pań-

stwa musiała utracić na walorze wskutek tego, że w wyobrażeniach o życiu zaszły wielkie zmiany. Wiara w ideę państwa stała się martwą, odkąd podważono w umysłach ideę, że twórczość państwowa jest przyrodzonem prawem narodu, pragnącego mieć swoją cywilizację.

Momentem psychologicznym kryzysu zarówno państwa, jak i człowieka jest zwątpienie o narodzie, jako twórczości organicznej. Chwila, kiedy człowiek oświecony zawahał się, czy życia zbiorowego nie da się komponować w dowolnych organizacjach, mechanicznie pojętych z pominięciem prawa historycznego zaczętej już na danem terytorjum cywilizacji, ta chwila była początkiem bezdroża. Idea cywilizacji uniwersalnej lub wędrownej, a zwłaszcza zatrucie moralności politycznej kosmopolityzmem wyrządziły umysłom taką krzywdę, jakąbyśmy zrobili roślinom, wyrywając je z korzeniami z ziemi, aby im dać wolność...

Dusze powiędły wskutek zaparcia się instynktów i pomylenia kierunku dalszego rozwoju. Dzisiejszy człowiek oświecony stracił połowę energji twórczej przez przeniesienie całej uwagi na prawa jednostki z zapoznaniem jej obowiązków. Dawne egzaltowanie się romantyzmu wolnością jednostki przerodziło się, przy materjalistycznym na prawa jednostki poglądzie, w paskowanie korzyściami wolności, choćby kosztem egzystencji narodowej. Polityka z posłannictwa stała się procederem środków ku zaspakajaniu praw jednostki (klasy) i jej apetytów. Z ugrupowań politycznych potworzyły się bandy, sprzysiężone na dobro publiczne, dążące przedewszystkiem dla tego do zawładnięcia życiem. Oczywiście o losach państwa w takiej grze decyduje nie program, lecz przypadek mechaniczny.

Trudno w tym stanie rzeczy znaleźć w duchowości inteligencji punkt, o którym możnaby kategorycznie powiedzieć, że od niego zaczyna się występek. Zły stosunek do całości zachodzi nie tylko tam, gdzie złe działanie, on jest złym i po stronie tych biernych, którzy ze szkodnikami nie walczą. Bierność sama jest oznaką powszechnego kryzysu moralnego.

Gdy myśl zawodzi, życie apeluje do instynktu. Ten przechowują masy narodowe. Czasy obecne — można tak powiedzieć — są widownią procesu w tej drugiej instancji. Jedni apelują do dobrych instynktów, inni sięgają tam po to, aby niszczyć narodowe instynkty w masach.

Faszyzm włoski dokonał wielkiego dzieła przez to, że poprowadził instynkty narodowe mas przeciwko rozwydrzonej inteligencji, która straciła węch historyczny. Zwycięstwo Mussoliniego polega na tem, że wiedział, jakie instynkty wydobyć. Gdy bolszewim w Rosji apelował do zwierzęcych, faszyzm wydobył instynkty państwowo-twórcze. Przeorał ziemię, pokrywając chwasty. Włochy zakwitły.

Nie doceniamy znaczenia kapitału psychicznego, leżącego w instynktach mas. Jeżeli jest uzasadnione ogólne wrażenie, że po wojnie naogół wzrosły dążenia nacjonalistyczne, to przecież nie wśród inteligencji, raczej wbrew niej odczuły prawo życia narodowego masy, które niemal w pospolitem ruszeniu lały krew za wolność. Głos krwi w sprawach życia działa bezpośrednio, gdy na przerobienie doktryny trzeba zmiany pokolenia.

Nie doceniamy tego prostego przez instynkt związku z życiem narodu, gdy chodzi o twórczość, czy w polityce, czy w każdej innej dziedzinie cywilizacji. Bezpośrednie odczuwanie ducha narodu wytwarza zupełnie odmienny typ człowieka oświeconego od tego, który wolnością swoją na historji paskuje. Dzisiejszy typ „mechanika" politycznego jest to ten sam typ parwenjusza, który nas tak razi na terenie kultury towarzyskiej lub artystycznej. Dziedzic instynktów historycznych narodu jest panem, choćby był chłopem, a zgadywacz polityczny, któremu się zdaje, że można poza duchem narodu coś stworzyć, jest chamem, choćby miał może stanowisko. Będzie mu się wydawało, że wszystko w życiu można zrobić na nowo, że nawet praworządność jest przeżytkiem.

Wynika ta choroba inteligencji z zapoznania roli, jaką w systemie duchowym odgrywa instynkt społeczny, odżywiający stany uczuciowe. Mieliśmy widok w czasach romantyzmu, jak dusza poetów pragnęła odżywić się w instynktach twórczych ludu, aby móc coś stworzyć czy w polityce, czy w literaturze. Jedna dziedzina z drugą jest skomunikowana. Przypatrzmy się, co teraz paskarze polityczni robią jednocześnie w literaturze. Gdyby nie kilku poetów, którzy uciekając od ognisk cywilizacyjnych, jak pustelnicy, chronią duszę od zarazy i napawają się pełnią życia zgodnego z prawami przyrody, to przecież zeszlibyśmy—po wymarciu starych pisarzy — na produkcję straganową dla gawiedzi dzieł pornograficznych.

Nie chodzi przecież o uczuciowość, jako sentyment poetycki, ale o pierwiastki etosu i patosu bez którego życie przestaje być zrozumiałe i choć cokolwiek warte. Życie realne w polityce, idealne w sztuce i obyczajowe w szrankach towarzyskich dzisiejszy człowiek oświecony upośledził przez jednostronność dążeń do wyciśnięcia ze wszystkiego jaknajwiększych efektów doraźnych. Człowiek oświecony naszych czasów gardzi dramatem w teatrze, ale on też nie chce widzieć dramatu życia.

Obecny ruch w polskiej literaturze politycznej zapowiada rychłą reakcję pierwiastków idealistycznych, tkwiących w narodzie. Dzieła takie jak R. Rybarskiego „Naród, jednostka i klasa", jak wydane świeżo Stanisława Grabskiego „Kryzys myśli państwowej" są objawami, że samowiedza pracuje. Ruch, podjęty w tym kierunku przez Obóz Wielkiej Polski i tak świetnie formułowany w jego wskazaniach programowych, oprzeć się musi na odrodzeniu człowieka oświeconego. Kryzys musi być przełamany przedewszystkiem w jego duszy.

ZYGMUNT WASILEWSKI

INDYWIDUALNOŚĆ I INDYWIDUALIZM

W JEDNYM z dawniejszych numerów „Myśli Narodowej“ (z 9 stycz. 1926 r.) w artykule „Rozwój kultury a przeszłość i narodowość“ starałem się uzasadnić mniemanie, iż w rozwoju kultury panuje determinizm, wyrażający się tem, iż przemiany dóbr kulturalnych i typów ludzi wyniesione są ponad dowolne żądania i pragnienia pewnych grup lub jednostek. Potrąciliśmy o problem wciąż żywotny: o stosunek człowieka do zbiorowości i o jego rolę wśród niej; pewien fragment tego problemu pragniemy oświetlić obecnie. W socjologji i psychologji problem ten — szczególnie w ostatnich dziesiątkach lat — przyciąga bardzo silnie uwagę uczonych. Jednym z pierwszych, który u nas zajął się nim, był Zygmunt Balicki (Głos 1897 „Indywidualizm a indywidualność“). Niektóre myśli rozwijamy poniżej.

Różny może być punkt wyjścia rozważań, które w zależności od charakteru różnie się mogą ukształtować. Wychodzimy z przekonania, iż istota ludzkiej natury jest społeczną, t. zn. iż każdy z nas, jednostek przyrodniczych — jest człowiekiem dzięki temu, co od społeczeństwa odebrał, i gdyby nie miał styczności i dostępu do tych dóbr kulturalnych, które wytworzone zostały drogą praw wieków, jego ludzka dusza spałaby snem kamiennym; ponad poziom bogactwa psychiki zwierząt nie zdołałby wzrosnąć. Z dzieci, z jednostek przyrodniczych wyrastają ludzie dzięki temu, iż społeczeństwo udziela im od maleńkości dóbr i zdobyczy swoich, kształtuje pojęcia moralne, naukowe, rozwija umysł, budzi serce, kieruje wolą, wplata i włącza w wielki łańcuch ludzkiego świata umarłych —żywych.

Im bogatsze jest środowisko, w którem wzrasta człowiek, tem bogatszą staje się jego dusza. Bogatszą przez to i dzięki temu, iż znajduje dostęp do większej ilości dóbr kulturalnych. Dlatego to pełniejszą ma duszę europejczyk, niż członek australijskiego klanu (choć dla niego jest ona dość pełna!) — mieszkaniec wielkiego miasta, niż ktoś z wioski zapadłej, człowiek dojrzały — niż dziecko. Kształtuje i rozwija się ta pełnia i wyższość w codziennem obcowaniu z wytworami trudów i prac pokoleń. Tak wychowany człowiek włącza się w życie swego społeczeństwa.

Otóż to włączanie nie zawsze jest łatwe i proste. Łatwiejsze jest w społeczeństwach o kulturze niższej — trudniejsze tam, gdzie stoi ono na wysokim stopniu rozwoju. Przyczyna leży w historycznej strukturze społeczeństw wyższej kultury.

Społeczeństwo niższej kultury aktualizuje i użytkuje w swem życiu ogół stworzonych, znanych i dostępnych dóbr, wartości i t.p. i dlatego członkowi klanu australijskiego tak głęboko wystarcza jedność z współbraćmi, iż nietylko w żadnym kierunku nie podejmuje samodzielnych wysiłków, ale nawet nie pragnie ich ani nie myśli o nich. Żyje cały w jedności swego społeczeństwa, a ono zaspakaja wszelkie jego potrzeby. Jednostka lęka się utraty związku, lęka się tego co nowe, indywidualne, nie powszednie. A gdy musi wykonać czynność jaką, w której inni nie biorą żadnego udziału (obrzędy religijne), czyni to z głębokiem poczuciem spełniania socjalnej funkcji.

Inaczej społeczeństwo posiadające historyczną tradycję. W określonej epoce opiera się ono na określonym zespole wartości i dążeń, posiada określone funkcje: koła — lecz nie wyczerpuje tem ogromnego historycznego skarbca utworzonych długą pracą dziejową przeróżnych form typów i możliwości. W pewnych momentach bierze jedne — w innych inne elementy. Tak renesans ożywił wiele z tych, które były martwe dla średniowiecza, ale strącił do grobu wiele takich, które panowały poprzednio.

Otóż w chwili, gdy jednostka ma wstąpić twórczo w świat społeczny, opiera się ona na określonym i wybranym zespole wartości, pojęć, norm, dzieli się na różnorodne koła, spełniające przeznaczone funkcje. W trybach tej wielkiej, pędzącej niepowstrzymanie maszyny musi człowiek znaleźć miejsce dla siebie, ale właśnie w jej granicach ożywiane są i użytkowane tylko niektóre elementy z historycznego skarbca. Cały ich szereg stoi poza nawiasem — wykluczony. Jednostka wie o nich i często narzekając na niemożność pogodzenia się ze światem współczesnym, odczuwa blizkość i możność współżycia i wyżycia się w świecie, który już umarł. Oto trudność: im prymitywniejszy zasób elementów kulturalnych tem łatwiej jednostce włączyć się w współczesne jej życie społeczne, gdyż tem większe prawdopodobieństwo, iż aktualizuje ono wszystkie zdobyte i znane elementy; im bogatszy ich zasób, tem trudniej — dlatego, iż dane społeczeństwo aktualizuje, jedynie pewien określony zespół, będący wyborem i cząstką całości, podczas gdy jednostka odczuwać może, iż bliższe są jej właśnie te pominięte, niewybrane elementy.

Stąd włączanie się jednostki w życie społeczne kultury wyższej jest bardziej skomplikowane i ciekawsze. Ale nie tylko dlatego, iż świat życia danego społeczeństwa jest węższy, niż świat znanej kultury. Również i dlatego, iż jednostka czuje większą samodzielność swoją. Członek społeczeństw niższych ulega im całkowicie.

Inaczej w społeczeństwach o wyższej kulturze. Jednostka nie czuje jarzma społeczności, przeciwnie ufa samodzielnej wolności swojej. Artysta tworzący w zaciszu swojej pustelni mniema, iż z duszy własnej snuje i przędzie nić złotą. Uczony, w twórczym wysiłku ustalający prawa rządzące światem i życiem, sądzi, iż stoi oko w oko z poznawaną rzeczywistością, sam na sam, potężny i władny, i gdyby archimedesowy punkt oparcia... Polityk za obrazę poczyta sobie, gdy mu się powie, iż idzie za falą wypadków — ma dumną pewność, iż on właśnie na podstawie skupionej swej silnej woli kieruje niemi — człowiek zwykły, szary człowiek przeciętny mówi chętnie o prywatnym, indywidualnym, własnym i niczyim innym skarbie i o duszy swej w której świat nie pozwala nikomu wtargnąć, wierząc, iż sam go stworzył — i dla siebie.

W zestawieniu z mieszkańcem Australji—różnica ogromna. Cóż znacząca? Czyżby usamodzielnianie się, wyzwalanie się z pod prymatu społeczeństwa było przyczyną duchowego rozwoju i wzrostu człowieka i indywidualności, czyżby tem wyzwoleniem tłumaczyć należało psychiczne bogactwo europejczyka — a uległość murzyńską czynić odpowiedzialną za nierozwój murzyna? Był czas, iż tak właśnie przypuszczano. Jeno zwolennicy tego romantycznego indywidualizmu i swobody nie umieli nigdy objaśnić, skąd i dlaczego rozwijać się może i rozrastać usamowolniona i samotna ludzka dusza. Powoływali się tedy często na jej przyrodzoną i metafizyczną zawartość, dochodzącą do głosu po wyzwoleniu z pod jarzma społeczności.

W istocie sprawa jest mniej efektowna i porywająca, za to bardziej trzeźwa i krzepka. Ilość dóbr

kulturalnych posiadanych przez społeczność murzyńską jest znikomo mała; tak mała, iż każdy z jej członków z łatwością obejmuje i przeżywa wszystkie. Stąd jednolitość i uległość. Społeczeństwa nasze posiadają tych dóbr — dzięki długotrwałemu procesowi historycznemu — ogromnie wiele. Nauka, religja, sztuka, moralność, polityka, technika i t. d., to nazwy różnych grup dóbr kulturalnych, grup rozpadających się na niezliczone poddziały. Nikt z ludzi żyjących nie ogarnia i nie przeżywa nie tylko wszystkich grup, ale nawet i wszystkich odcieni jednej grupy. Uczony zna dobrze swoją gałęź wiedzy, człowiek religijny dogmaty swojej religji, polityk uznaje jedno, system wartości politycznych, artysta ma swoje upodobania; — w bezmiarze dóbr kulturalnych każdy z ludzi dokonywa wyboru i przejmuje do duszy własnej i ogarnia swoiście zestawioną kombinację dóbr. Stąd różnorodność ludzi. I tu także przyczyna poczucia jednostek, iż są wolne i niezależne: wchodzą bowiem w związki i zależności nie z ludźmi żywymi, ale z dobrami kulturalnemi, które trwają samodzielnie, choć twórcy ich dawno odeszli. Tak np. artysta — entuzjasta starożytności odczuwać będzie niezależność swą od społeczeństwa dzisiejszego.

Tak więc jednostka zawsze pozostaje w zależności od dóbr kulturalnych, ale ze względu na ich nieprzebraną ilość i fakt, iż trwać mogą w odewaniu od społeczeństwa, które je kiedyś stworzyło — rodzi się w niej mniemanie, iż jest wolną i twórczą sama z siebie. Naprawdę zaś zależy zawsze od społeczeństwa wogóle; związana słabiej z otaczającem, tem wyraźniej ulega dawnemu, ulegając jego wytworom.

Duchowy rozwój człowieka — to swoiste kombinacje dóbr kulturalnych, świadome lub nie, przemyślane lub uczuciowe. Człowiek przeciętny, to taki, który realizuje w swej duszy w sposób przeciętny te dobra kulturalne, które są w danym czasie powszechnie uznawane. Człowiek niezwykły: czy to śmieszny oryginał, czy wielki twórca — to taki, który nawiązuje do dóbr kulturalnych innych, niż te które w owym czasie przeważnie są uznawane. Człowiek pełny — to taki, który potrafi możliwie wiele różnorodnych dóbr w swej duszy przeżywać i łączyć. Człowiek ciasny— to taki, który uznaje i odczuwa jeno nieliczne dobra kulturalne, lecz w sferze jego specjalności.

Teraz rozumiemy już lepiej socjalną konstrukcję jednostki. Zjawia się ona na świat, przynosząc z sobą swoiste dyspozycje psychiczne (podobnie jak swoiste organizacje biologiczne). Swoisty temperament i skłonności mniej lub więcej stałe. Ten niepochwytny i nie przewidzialny czynnik ma ważki głos przy kształtowaniu się człowieka: oto dzięki wychowaniu, zaznajamiając się z ogromnym skarbcem kultury, najrozmaszemi możliwościami—wiąże się psychicznie, zależnie w znacznej części od owych dyspozycyj, z takiemi a nie innemi elementami. Tu leży źródło niejednakowości ludzi społeczeństw wyższych, niejednakowości nie będącej tak wyraźną wśród społeczeństw niższych, gdzie skala wyboru jest bardzo wązka.

Z tak rozwijaną duszą jednostka wstępuje w życie własnego społeczeństwa, by wziąć w niem udział.

Najbardziej przeciętne i szare jest ono wówczas, gdy jednostka wstępuje w życie społeczne, znajduje w jego różnorodności pewną pozycję odpowiednią sobie, którą zajmuje, trwożliwie bacząc, aby na niej trwać i ani na włos nie odchylić się od zwyczajem ustalonej normy. Mówimy wówczas o takim człowieku, czy to będzie skromniutki ksiądz, czy nauczyciel, czy dyrektor instytucji jakiejś, czy minister — iż jest człowiekiem bezbarwnym, szarym, bez indywidualności.

Z tego punktu zerowego wiedzie linja wstępująco wzwyż. Znaczy ona ludzi o coraz tęższej indywidualności. To znaczy takich, którzy zająwszy określoną pozycję w społeczeństwie, i podjąwszy punkt działalności — prowadzą ją twórczo naprzód. Nie ograniczają się do reprodukowania tego, co zastali; — twórczość jest istotnym elementem składowym indywidualności; twórczość — ale nie burzenie, t. zn. prowadzenie, rozwijanie i wspomaganie istotnych tendencyj rozwojowych danej funkcji społecznej, lub społeczeństwa wogóle. Silna indyidualność—obok napięcia woli i energji, ma intuicyjne wyczucie potrzeb i dążeń społeczeństwa, posiada dar przewidywania i odgadywania przyszłych a niedalekich już dróg rozwoju, wstępuje na nie śmiało, wiodąc—chwilowo może oporne, ale rychło poznające swą właściwą i oczekiwaną drogę — społeczeństwo. To jest szczyt tej linji wzrastających indywidualności. Z drugiej strony owego punktu zerowego poprowadzić by można było linję inną. Poczynała by się od ludzi, którzy nie chcą lub nie mogą włączyć się w życie społeczne. Powiadamy o człowieku, który nie włącza się w życie zbiorowe, który idzie swoją samotną i odległą drogą, przeżywa w sobie i dla siebie — iż jest indywidualistą. Oczwiście różny może być indywidualizm; mamy tu zrazu na myśli induwidualizm bierny, t. j. polegający jedynie na niemożności wejścia w życie danego społeczeństwa; inwidualizm ludzi słabych, idących smętnie swoją pustą drogą. Jeśli o rolę społeczną chodzi — to ludzie tacy stanowią materjał społecznie bezużyteczny, beztwórczy, podobnie właśnie, jak ludzie bez własnej indywidualności. Od tego punktu można znowu poprowadzić linję wzwyż; znaczyła by ona indywidualistów coraz bardziej aktywnych. To znaczy ludzi, również nie włączających się w życie społeczne, jak tamci, ale dość silnych i zdecydowanych, by siłą rozszerzać zbyt ciasne ramy. To rozszerzanie — jest burzeniem. Jak siła indywidualności wyrażała się twórczością — tak siła indywidualisty przejawia się burzeniem, rozbijaniem zbyt ciasnych dla jego własnego wyżycia się — ram. I jak po stronie indywidualności decydującą rolę grały elementy altruistyczne — tak tutaj na plan pierwszy, a często jedyny, wysuwają się czynniki egoistyczne i egotystyczne. Szczytem właściwym tej linji—będzie indywidualista działający, bez najmniejszego względu na dobro i potrzeby innych ludzi, dążący do zaspokojenia swych własnych potrzeb, burząc ład społeczny.

Wszakże między szczytem linji indywidualności i szczytem linji indywidualizmu nie istnieje przepaść nieprzebyta. Często tęgi indywidualista — stać się może silną indywidualnością, a mocna indywidualność—silnym idywidualistą. Pierwsze stanie się wówczas, gdy rodzaj wyżycia się danego indywidualisty nie jest radykalnie sprzeczny z interesami społeczeństwa, a na miejsce motywów egoistycznych i egotystycznych, zjawią się altruistyczne: burzenie dla dobra ludzi. Drugie staje się wtedy, gdy upojona twórczą pracą swą indywidualność, przekracza użyteczne granice, zatraca poczucie miary i potrzeb istotnych zbiorowych — i prowadzi dalej swe dzieło już tylko z egoistycznej i egostystycznej miłości i potrzeby.

Możnaby więc — dość niedokładnie zresztą — rozważania nasze przedstawić na niedomkniętym okręgu koła: na dole mielibyśmy punkt znaczący ludzi społecznie biernych i obojętnych: balast społeczny; byiiby to ludzie bez indywidualności — a obok indywidualiści bierni. Po okręgu koła wzwyż, wzrasta-

łoby natężenie siły i energji: jedno półkole łączyłaby ta wzrastająca siła ludzi włączających się w życie społeczne (indywidualności), a drugie wzrastająca moc niewłączających się w to życie indywidualizmów. Na górze krąg koła — nie zamykałby się — na znak, iż indywidualność stać się może indywidualistą — ale jedno w drugie nie przechodzi w sposób ciągły; następuje tu pewien przewrót. Podobnie na dole koła: człowiek bez indywidualności oddzielony jest od indywidualisty biernego. Tu przeskok — może trudniejszy — ale równie możliwy.

Z tego co się powiedziało — widać już, iż rozwój społeczny najtęższy i najżywszy jest tam, gdzie nawiększa ilość silnych indywidualności. Ludzie bez indywidualności i indywidualiści bierni — są społecznym balastem, może potrzebnym, ale nigdy twórczym. Indywidualiści silni, burzą ład społeczny i niepokoją. W świecie przyrody odpowiadają im — zwierzęta drapieżne.

Wracamy więc jakby do starej koncepcji Leibniza: do świata monad, z których każda wszechświat w sobie odbija — sobą będąc. Tak i indywidualność każda: sobą jest — i wszystkim służy zarazem. Jest jednostką — i miljonem. Oddając się innym, siebie znajduje. Tworząc dla innych — siebie tworzy.

BOGDAN SUCHODOLSKI

WSTĘP DO HISTORJI SŁOWIAN

BADANIA nad zamierzchłą przeszłością Słowian przechodziły rozmaite fazy. Najpierw bez względu na istotne dane puszczano się śmiało na fale fantastycznych domysłów i przypuszczeń. Później nastąpiła bezwzględna reakcja krytyczna, która w stosunku do wielu zagadnień utrzymuje się po dni dzisiejsze. Stanowisko to cieszy się uznaniem tem większem, że jest ono pod wielu względami bardzo wygodne. W ten sposób bowiem jedynie zbieranie materjałów uważa się za wartościową pracę naukową, a wszelkie uogólnienia jako przedwczesne odrzuca się z nieufnością. Zapatrywania te były częściowo słuszne w niektorych dziedzinach slawistyki, szczególnie w zakresie etnografji, gdzie istotnie dotąd jeszcze brak danych wystarczających do syntezy. Lecz w dziedzinie językoznawstwa, autropologji i prehistorji lękliwość ta była do pewnego stopnia zbyteczna. Zupełnie słuszne uprzedzenia te przełamał prof. Jan Czekanowski w dziele p. t. „Wstęp do historji Słowian. perspektywy autopologiczne, etnograficzne, prehistoryczne i językoznawcze." (Lwów 1927, nakład K. S. Jakubowskiego Str. 326).

Praca prof. Czekanowskiego pomyślana zrazu jako wstęp do autropologji Polski rozrosła się w ciągu pisania i druku na potężną introdukcję do dziejów całej Słowiańszczyzny. Olbrzymi materjał ujął autor w sposób zupełnie oryginalny i zajmujący nietylko dla zainteresowanej bezpośrednio rzeszy uczonych, ale i dla całego inteligentnego ogółu.

Dzięki zastosowaniu nowych metod udało się uzyskać autorowi nowe czynniki we wszystkich opracowanych działach.

Więc najpierw w rozdziale o terytorjach językowych Europy przez opracowanie diagramu powinowactw języków iudoeuropejskich wystąpiło bardzo znamienne przeciwstawienie się grupy północnej, obejmującej języki bałtosłowiańskie i germańskie, grupie południowej, w której skład wchodzą pozostałe języki. Zastosowanie zaś współczynników asocjacyj do materjałów djalektologicznych Nitscha pozwoliło wyodrębnić na obszarze Polski prócz takich przewidzianych zespołów jak: pomorski, mazowiecki, wielkopolski, małopolski i śląski, jeszcze jeden zespół nieprzewidziany, a mianowicie grupę sandomierską. Wreszcie przy pomocy kryterjum ilościowego zaznaczyło się istnienie okresu wspólnoty prarusko-południowo słowiańskiej, na której podłożu nastąpił okres dalszego zróżniczkowania.

Bardzo trudne zadanie musiał pokonać autor przy opracowaniu rozdziału etnograficznego, gdyż badania nad kulturą ludów słowiańskich nie dały nam jeszcze ogólnych ujęć zebranych dotąd materjałów. Dyskusja doznała więc z konieczności pewnego ograniczenia i odbywa się głównie na tle jednego zjawiska kulturowego, jakiem jest dom. Również przy tych rozważaniach osiągnął Czekanowski parę nowych wyników.

Więc przedewszystkiem jaskrawo przeciwstawiły się dwa zasadniczo różne typy budownictwa rosyjskiego: dom piętrowy, charakterystyczny dla północnej Wielkorosji i chata ustawiona bezpośrednio na powierzchni ziemi w południowej Wielkorosji. Przytem zaznacza się na tym obszarze zupełnie wyraźna zgodność między zróżniczkowaniem jezykowem, a rozmieszczeniem poszczególnych typów domu.

Następnie zwrócił autor uwagę na liczne związki Słowiańszczyzny ze światem klasycznym. Do tych bezpośrednich oddziaływań świała rzymskiego należy zaliczyć dom podsieniowy, właściwy szczególnie Polsce zachodniej, oraz wiele innych elmentów wspólnych całej Słowiańszczyźnie, jak np. gotowanie pożywienia w garnkach, jak w świecie klasycznym, a nie w kotłach, używanie łaźni i oznaczanie jej słowem „banja", nazwanie pomostu do spania słowem „pałata" lub „palac" i w. i. Przykłady te, jak wiele innych, pozwalają na przypuszczenie, że mamy tu do czynienia z następstwem bezpośredniego kontaktu Słowian ze światem rzymskim w okresie przed słowiańską ekspansją i że jest to wynik oddziaływania drogi bursztynowej prowadzącej do ujścia Wisły i pobytu rzymskich kupców nad Bałtykiem. W związku z tem wypowiedział autor bardzo trafną myśl, że prawdopodobnie w tem dawnem oddziaływaniu świata rzymskiego tkwi przyczyna utrzymania się katolicyzmu na terytorjum Słowiańszczyzny zachodniej. Katolicyzm, jakby forma przetrwania kultury rzymskiej, utrzymał się jedynie na obszarze dawnego państwa rzymskiego, a tak też i tutaj utrzymał się na szlaku bursztynowym, natomiast na szlaku wareskim mamy kościół bizantyński.

Niezwykle zwięźle przedstawiono obecny stan zagadnień z dziedziny prehistorji Polski, przyczem autor oparł się głównie na rekonstrukcjach prof. L. Kozłowskiego. Mamy więc tu analizę paleolitu i neolitu na naszych ziemiach i zgodnie z zapatrywaniami innych uczonych słowiańskich nawiązanie kultury łużyckiej do kultury dawnych Słowian. Wreszcie na zakończenie działu prehistorycznego dał prof. Czekanowski szereg bardzo ciekawych nawiązań antropologicznych do kultur prehistorycznych.

Oczywiście najwięcej oryginalnych pomysłów mamy w części antropologicznej tej pracy. Przedewszystkiem obalił autor dotychczasowe zapatrywanie, jakoby najistotniejszym rysem procesów antropologicz-

nych, zachodzących w Europie, było stałe zanikanie elementów długogłowych. Przeciwnie bowiem, właśnie ze wszystkich typów rasowych, występujących w epoce paleolitycznej, jedynie typy skrajnego długogłowca (ε) i długogłowca nordycznego (α) dochowały się do epoki współczesnej. Nadto wiele ważnych wyników uzyskano w dziedzinie paleoantropologji słowiańszczyzny a mianowicie, że: 1. Ekspansja słowiańska pod względem antropologicznym była ekspansją typu nordycznego. 2. Ośrodek ekspansji słowiańskiej musiał się znajdować na zachodzie, przypuszczalnie w dorzeczu Wisły. 3. Wołyń tworzył prawdopodobnie dawny ośrodek Słowian wschodnich, zaznaczający się dotychczas w postaci wyspy typu nordycznego.

Rewizja dotychczasowych materjałów kranjologicznych przeprowadzona przez prof Cz. pozwoliła też wyodrębnić różne ludy stepowe, których fale uderzały o wschodni brzeg słowiańszczyzny.

Już na podstawie tego krótkiego poglądu możemy zauważyć, że autor wyjaśnił wiele zawiłych problematów i dał szereg wskazań do dalszych poszukiwań; tak liczne wyniki zawdzięcza prof. Cz. umiejętnemu zespoleniu wiadomości z zakresu antropologji, etnografji, prehistorji i językoznawstwa.

Dzięki temu dochodzi autor do stwierdzenia ciągłości rozwoju stosunków antropologiczno-etnicznych Europy. Ciągłość ta występuje w niektórych dziedzinach, badanych przez prehistorję i etnografję, w sposób bardzo jaskrawy. Np. na terytorjum germańskiem zaznacza się wyraźnie istnienie kręgu kulturowego od neolitu aż do doby obecnej. Prawie zupełnie zgadzają się z sobą zasięgi: 1. Znaleziska tak zwanych starszych grobów olbrzymów z epoki neolitycznej. 2. Terytorjum Germanów w III i IV okresie bronzu ustalonego przez Kosinnę na podstawie znalezisk skarbów bronzowych. 3. Terytorjum domu starosaskiego. 4. Terytorjum narzecza dolno-saskiego. Na podstawie tych zgodności można przypuścić, że terytorjum to jest odwiecznym ośrodkiem Germanów zachodnich. Zarazem w związku z tem można zauważyć równie dawną konsolidację terytorjum słowiańskiego i jego bardzo wielką odporność w stosunku do nacisku germańskiego. O ile bowiem ekspansja germańska w kierunku południowym doszła do 700 klm. wgłąb i doprowadziła do zupełnego wchłonięcia Celtów to natomiast w kierunku na wschód na obszar słowiański to przesunięcie nastąpiło ledwie na 150 klm. wgłąb. Fakt ten dowodzi, że mamy tu do czynienia ze stosunkowo równomiernemi oporami zwartego terytorjum, przeciwstawiającego się naciskowi germańskiemu w ciągu kilkunastu wieków. Tak więc stopień konsolidacji germańskiej nie był wówczas większy od konsolidacji Słowian w okresie cofania się ich ku wschodowi. Zarazem świadczy to, że Słowianie siedzą tu oddawna i muszą być nawiązani do t. zw. kultury łużyckiej, gdyż odwiecznemu sąsiedztwu kultury germańskiej i łużyckiej odpowiada ściśle powinowactwo jezykowe Germanów i Bałto-słowian.

Twierdzenia swe poparł prof. Czekanowski bardzo licznemi mapami i diagramami, w których musi się podziwiać ogrom włożonej pracy. Co do niektórych przypuszczeń autora można mieć pewne wątpliwości, a więc np. czy Basków można nawiązać do języków sudańskich, czy ślemię w budownictwie łączy się z Celtami, czy pierwotny dom słowiański był tylko węgłówką, ale to są oczywiście detale, które w miarę dalszych materjałów ulegną wyjaśnieniu. Zasadniczo jednak książka prof. Czekanowskiego jest pierwszą, niezwykle śmiałą i zupełnie oryginalną rozprawą na temat dziejów i kultury dawnych Słowian. Choćby zaś nawet nie utrzymały się wszystkie tezy tu wygłoszone, to jednak dzieło mieć będzie doniosłe znaczenie dla dalszej dyskusji nad temi problematami, a przedewszystkiem dla metodyki badań słowianoznawczych.

Na uznanie zasługuje również firma wydawnicza K. S. Jakubowskiego we Lwowie, która nie tylko podjęła się tej dużej naukowej publikacji, ale też nie szczędziła wysiłków i kosztów, by książce nadać odpowiednią formę zewnętrzną, a przez to dowiodła, że przyjęte przez nią godło *„prodesse volo“* nie jest jedynie czczym znakiem księgarskim.

Lwów ADAM FISCHER

MOTYWY IDEOWE TWORCZOSCI CHESTERTONA

POGŁĘBIAJĄCA się wśród inteligencji polskiej świadomość współczesnego kryzysu cywilizacji europejskiej sprawia, że nasz myślący ogół przestaje być bezkrytycznym spożywcą wszelkich nowatorstw, importowanych z zagranicy, zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że tradycyjne wartości cywilizacji europejskiej, a więc i polskiej, z jednej stony są kwestjonowane, z drugiej zaś znajdują oddanych obrońców — i z zaciekawieniem przypatrywać się zaczyna czołowym w tej walce idei zapaśnikom. Pozwala to spojrzeć pod właściwym kątem na twórczość Chestertona nawet tym, którzy znają go tylko ze słyszenia, jako publicystę i baletrystę. Dość powszechnie już u nas wiadomo, że Chesterton jest jednym z najpierwszych w literaturze współczesnej szermierzy tradycyjnych ideałów cywilizacji europejskiej, że przeto twórczość jego, świetna jako zjawisko literackie, przedewszystkiem budzi interes z ogólno - kulturalnego punktu widzenia.

W istocie tak ideowy to autor, że nawet z tych paru utworów, udostępnionych publiczności naszej przez tłumaczów, powziąć można niejakie wyobrażenie o jego sylwetce duchowej. Nie mogą one zato dać czytelnikowi polskiemu pojęcia o tem, jak olbrzymi jest twór pisarski Chestertona i jak różnoraki. Naliczymy tam około pięćdziesięciu publikacyj książkowych—w czem nic szarego, liczmanowego, dziennikarskiego—wszystko zamaszyste niezrównanie, przebujnie fantazyjne, indywidualne, twórcze! Zdumienie wzrasta, gdy się zważy, że autor liczy dopiero pięćdziesiąt trzy lata (urodzony w r. 1874) i pierwej próbował swych sił w malarstwie, niż w literaturze.

Tylko najważniejsze pozycje w dorobku tym możemy tu wyszczególnić. Zacznijmy od studjów o malarzach (książki o Wattsie, o Blake'u). Dalej wymieńmy prace biograficzno-literackie (o Browningu, o Dickensie, o Bernardzie Shaw, o św. Franciszku z Assyżu). Wspomnijmy dalej o studjach krytyczno - literackich, jak „Okres wiktorjański w literaturze“. Jako reprezentacyjne zbiory poezyj zacytujemy: „Balladę o białym koniu“, „Rycerza obłąkanego“, „Balladę o św. Barbarze i inne poematy“, „Panią siedmiu mieczów“ (książka obejmująca wiersze ku czci Matki Boskiej). Dalej powieści: „Napoleon z Notting Hillu“, „Człowiek

zwany Czwartkiem" (przekład polski W. Rzymowskiego zatytułowany: „Delegat anarchistów"), „Kula i Krzyż" „Żywy człowiek" (*Man alive*), „Latająca oberża". Nowele: a więc serja „detektywna", której bohaterem jest ksiądz Brown (tytuły powiadają kolejno o „Naiwności", „Mądrości" i „Niedowiarstwie" ks. Browna), i inne zbiory: „Człowiek, wiedzący zbyt wiele", „Opowiadania o dalekonośnym łuku". Jest jeden utwór dramatyczny co do formy, właściwie zaś dyskusyjno-religijny, p. t. „Czary" (*Magie*).—„Nowa Jerozolima" i „Com widział w Ameryce" — to suto przeplatane dywagacjami wrażenia z podróży. „Krótka historja Anglji", „Barbarzyństwo Berlina", „Zbrodnie Anglji" — to pisma historyczno-polityczne, „Wieczysty człowiek" i „Kościół Katolicki, a nawrócenie" za przedmiot mają zagadnienia religijne. Dział najobszerniejszy wreszcie — to zbiory szkiców, fejletonów lub artykułów, bądź luźno powiązanych, jak „Strasznie ważne drobnostki", albo „Alarmy i wycieczki", bądź złączonych jedną myślą przewodnią, jak „Ortodoksja", „Świat wykolejony", „Eugenika oraz inne zła", „Zarys zdrowego myślenia" etc.

Przyjrzyjmy się nieco głównym motywom ideowym tej twórczości.

Chesterton nie jest jedynym katolikiem wśród czołowych postaci piśmiennictwa angielskiego ostatniej doby. Niepospolita twórczość powieściopisarska prałata R. H. Bensona, zmarłego na początku wojny, poświęcona była w całości propagandzie idej katolickich. Temu samemu celowi służy wielki talent Hilarego Belloca, historyka, polityka, poety i beletrysty. Nie należy też zapominać, że z podłoża kultury katolickiej wyrosła również twórczość Józefa Conrada, oznajmiająca się szeregiem cech obyczajowo-moralnych, jako produkt tej gleby (choć obca katolizmowi filozofją). Ale autorowie ci albo, jak Benson, należeli do katolickiej hierachji kościelnej, albo, jak Belloc i Conrad, byli synami narodów katolickich, Chesterton natomiast jest niesłychanie ciekawym przykładem twórcy, który odwrócił się od anglikanizmu i wszedł na drogę sympatyj do katolicyzmu (z samem nawróceniem inna oczywiście sprawa) orjentując się swoim zmysłem poetyckim. Cóż odkryła poecie ta władza?

Że Chesterton jest szczerym poetą, o tem wątpić nie może nikt, kto wczytał się w pisma tego autora. Jest w najlepszych jego rzeczach improwizacyjna bezpośredniość natchnienia, pierwiastek upajający, ów „wyskok poezji", trunek, którego się nie da podrobić.

Otóż siłę Chestertona stanowi zdolność poetyckiego widzenia rzeczy powszednich, blizkich, pospolitych. Obdarzony podwójnym wzrokiem poeta widzieć w nich umie, poza pospolitością, element niezwykły i święty. Uczucie, podobne temu, które Kasprowicz wyraził w słowach:

„Gdybym nie wstydził się ludzi,
Choć ślepi są, głusi i niemi,
Z podziwu bym ukląkł na widok
Najmniejszych pyłków ziemi.
Najmniejszy listek na drzewie,
Najlichsza rosy kropelka
Czci mojej były przedmiotem,
Tak Twoja władza jest wielka"

przenika także twórczość Chestertona — i jest także u niego w tem wzruszeniu coś religijnego. Różnica polega na tem, że nie pyłki ziemi najsilniej pociągają wyobraźnię Chestertona, lecz również bezbarwne z pozoru pyłki przeszłości historycznej, okruchy tradycji, wdeptane w ziemię obojętnemi stopami. Właśnie nieoficjalna, nieuczczona, wzgardzona tradycja znajduje w nim najgorętszego orędownika. W pyłku tradycji widzi on ten sam naturalny element, co w ziarnku piasku, w źdźble trawy.

Już przeżycia z czasów dzieciństwa wtajemniczyły Chestertona w nadprzyrodzone piękno przeszłości. Chłopak chodząc do szkoły szaremi, codzień temi samemi ulicami Londynu, spostrzegł, że z temi ulicami, mimo całej ich brzydoty, wspomnienia związały go już nierozerwalnie jakimś sposobem jedynym. I wtenczas w głowie uczniaka powstał pomysł napisanej znacznie później powieści o bohaterskiej obronie Notting Hillu przed świętokradczym zamachem.

Serdeczność takich przeżyć ukazała poecie, ile żywego jest w tradycji narodowej, ile moralnego w czci dla niej — i prześwietliła cały jego nacjonalizm. Poetyckie odczucie świętości rzeczy bliżkich, i codzień spotykanych dało jego wyobraźni oprzeć się o ziemię ojczystą i w niej osiąść na stałe, pozwoliło widzieć ojczyznę nietylko jako małobarwną rzeczywistość aktualną, lecz także jako kraj baśni. Tradycjonalizm i nacjonalizm Chestertona wyrosły więc z samorodności i ciągłości życia duchowego, jako doktryny, nie przekreślające tego życia, lecz z bujności jego wykwitające.

Przeniesienie punktu ciężkości na walory duchowe, przy konkretnym osadzeniu umiłowań w ziemi ojczystej, przywrócić musiało dawne miejsce w hierarchji wartości ideałom średniowiecznej cywilizacji europejskiej, wytworzonym przez katolicyzm, a dziś przeważnie traktowanych na Zachodzie jako przeżytki i błahostki. Tymczasem właśnie kult imponderabiljów jest motywem tak zasadniczym twórczości Chestertona, że zilustrujemy rzecz przykładem. W roku dwutysięcznym którymś Adam Wayne, burmistrz Notting Hillu, sprzeciwił się projektowi zburzenia pewnych starych ulic tej dzielnicy, rzuconemu przez innych burmistrzów londyńskich, a mającemu na celu przeprowadzenie nowej, wygodniejszej arterji komunikacyjnej. Idea komunikacji, aczkolwiek czczona podówczas powszechnie, dla Wanye'a nie ma owego autorytetu: wyżej stawia on swe przywiązanie do Notting Hillu. Nie pomagają perswazje króla (wybieralnego w owej epoce): bo czemuż sprawa Notting Hillu, dzielnicy, z którą mieszkańców związały wszystkie ich wspomnienia, miałaby być humorystyczna? Wayne nie ustępuje — zaczyna się wojna. Broń należała w owych czasach do rekwizytów nierealnych, to też wojska uzbroiły się w halabardy. Przeciw Notting Hillowi stoją wszystkie inne dzielnice Londynu. Lecz daremnie starają się oblegający zgnieść Wayne'a potworną przewagą liczby. Okazuje się, że oblężeni biorą swoją sprawę serjo i gotowi są do ofiar—imponderabilja te sprawiają, że Wayne z walki wychodzi zwycięscą.

Oto, w jaki sposób wyraża Chesterton prawdę, że istnieje świat wartości moralnych, któremu nie imponują sukcesy cywilizacji materjalistycznej, ani wywody arytmetyczne, choćby operowały „miljonami mnożonemi przez miljardy". Poeta wartości te zna, stąd charakterystyczna jego postawa pewności moralnej, stąd przebijający ze wszystkich pism Chestertona ton afirmacji, stąd optymizm, wypływający z przeświadczenia, że choćby wszystko się zawaliło, to przecież pewne prawdy się ostaną. Wszystko to sprawiło, że poeta nie mógł czuć się dobrze w atmosferze rozkładającego się protestantyzmu angielskiego, że ze sposobu myślenia stał się katolikiem, zanim jeszcze oficjalnie przeszedł na łono kościoła rzymskiego przed czterema laty. Przejście to zaś było aktem gorejącej wiary — niepodobna bez wzruszenia czytać autobiograficznych wzmianek w wierszach religijnych, napisanych w tym okresie. W wierszu „Regina Angelorum" opowiada Chesterton, jak Najświętsza Panna

udała się z Anglji do nieznanej krainy aniołów, którzy zobaczywszy ją, „przed tą pięknością nie do zniesienia w proch padli, — jak pierwej my".

Widzimy zatem w Chestertonie głosiciela prawd prostych, a głębokich, szermierza ideałów tradycyjnych — tymczasem obwołano go miłośnikiem paradoksu. Paradoksów ideowych w myśleniu chestertonowskiem właściwie wcale niema. Raczej paradoksy wytworzyła sytuacja historyczna, w której przyszło Chestersonowi tworzyć i działać.

Reprezentujące kulturę religijną oraz ideę kościoła powszechnego państwa katolickie w poniżeniu politycznem. Czciciele idei egoizmu narodowego, burzyciele jedności chrześcijańskiej średniowiecza — państwa protestanckie — orędownikami uniwersalizmu i założycielami Ligi Narodów. Kapitalizm, wywyższający się ponad cywilizację rolniczą. Relatywizm, obwołujący się za bezwzględną prawdę. Uwydatniając to wszystko, uwydatnił tylko Chesterton paradoksalność sytuacji historycznej, — inna rzecz, że posługuje się chętnie paradoksem, jako czysto formalnym środkiem stylistycznym, i nawet popada czasem w zmanierowanie pod tym względem.

Na zakończenie parę słów o poglądach politycznych Chestertona. Jak wiadomo jest on redaktorem tygodnika „G. K'", Weekly". Nie oczekując zbawienia Europy od przechodzących poważny kryzys ideowy potęg protestanckich, w polityce zagranicznej sympatjami zwraca sią ku państwom katolickim. Nie trzeba tłumaczyć, że polonofilizm jego w szczególności nie jest czemś przypadkowem. Zdziwić może czytelnika polskiego wiadomość, że redaktor „G. K'", Weekly", będąc nacjonalistą, opowiada się jaknajbardziej stanowczo przeciw unionizmowi — jest to jednak naturalną konsekwencją tego, że Chesterton nie podziela dość powszechnie przyjętego w potęższych państwach zachodnich poglądu, iż „ojczyzna jest spółką dla wyzyskiwania innych narodów". Ojczyznę pojmuje, jak się ją jeszcze w Polsce naogół pojmuje: nie jako źródło dochodów, lecz jako ideał, wymagający bezinteresownej służby. Tak więc słynną wystawą w Wembley uznał za chybioną, gdyż symbolizowała ona tylko dobrobyt imperjum brytyjskiego; za wzór dla patrjotyzmu angielskiego wskazał wówczas narody, które potrafiły kochać ojczyznę nieszczęśliwą i odwalić kamień z jej gropu; kraje takie, jak Serbja, Polska, Irlandja.

Do rządów parlamentarnych w swoim kraju odnosi się Chesterton nieufnie, określając je, jako maskaradę: prawdziwe decyzje zapadają bowiem nie w parlamencie. Pragnie zmniejszyć zło industrjalizmu przez reformę rolną i umożliwienie pracy na własnym kawałku ziemi możliwie największym zastępom obywateli Zjednoczonego Królestwa, jest bowiem zdecydowanym zwolennikiem własności prywatnej i przeciwnikiem kollektywizmu, jak również kapitalizmu. Proponuje zatem zorganizowanie wytwórczości z powrotem na zasadzie idei średniowiecznych cechów — myśl, opracowana gruntownie pod względem teoretycznym przez Hilarego Belloca. WITOLD JERZY CHWALEWIK

O NOWYM IMPERJALIZMIE

Artykuł poniższy, drukowany w *„G. K.'s Weekly"* z d. 19 marca r. b., podajemy, jako próbkę publicystyki Chestertona, z tej strony mało znanego naszej publiczności. Poza swobodną literacką twórczością temperament działacza skłania Chestertona do stałej walki publicystycznej o wyznawane idee. Każdy numer tygodnika *„G. K.'s Weekly"* przynosi parę artykułów pióra redaktora, który od wielu lat na łamach swego pisma polemizujące z najbardziej utalentowanymi bojownikami obozu międzynarodowo-radykalnego: H. G. Wellsem i Bernardem Shawem. Zwłaszcza Wells w ostatnich latach cieszy się coraz większym mirem, jako ideolog państwa światowego, którego podwaliną ma być postęp mechaniczny, udoskonalenie środków komunikacji, rozwój handlu i t. d. Idee te przenikają i do nas, i my zatem z pożytkiem czytać możemy odprawę, daną Wellsowi przez Chestertona.

BLIZKO trzydzieści lat temu oświadczył Cecil Rhodes, że Imperjum Brytyjskie jest niedość wielkie i że wszystko poświęcić należy dla przeprowadzenia drogi żelaznej, albo telegrafu z Kairu do Kapsztadtu, dla którego to celu przekupił polityków, otworzył Wilhelmowi wrota do Bagdadu i omal nie przyprawił nas o przegraną w wielkiej wojnie. Nazywało się to wówczas „myśleniem imperjami", bo nie obliczono się z imperjum niemieckiem. Lecz zwano to także „myśleniem kontynentami", i ta formuła po dziś dzień jest aktualna.

Blizko trzy tygodnie temu p. H. G. Wells oświadczył, że wielkie przedsiębiorstwa są nie dość wielkie i że wszystko należy poświęcić dla otwarcia dalekich dróg komunikacji aeroplanowej. I on myślał kontynentami i to energicznie, żalił się jednak, że żadna kombinacja handlowa nie jest dość wielka, aby pokryć wszystkie kontynenty łatwo, zwycięsko i w duchu odpowiedniej pogardy dla państw, z których przypadkowo składają się te kontynenty. Irytują go wciąż zapory granic narodowych, jak gdyby to była jakaś bezsensowna plątanina drutów kolczastych i trapi go wielce, że drobnostki takie jak tradycje Nelsona, Waszyngtona albo św. Joanny d'Arc miałyby wogóle być brane pod uwagę, kiedy wchodzi w grę interes samolotu handlowego. Myśl zawraca mimowoli do tego cudownego drutu, który miał ciągnąć się tysiące mil w dzikich lub niezamieszkałych okolicach podzwotnikowych i filozofji tej nie zmienia fakt, że dawni czciciele drutu dziś wielbią telegraf bez drutu. P. Wells jest, zdaje się, czcicielem aeroplanu. Oto bóstwo, ideał, absolut, dla którego poświęcić warto wszelką sprawę ludzką czy historyczną.

To tylko smutne, że żaden miljoner nie jest tak wielkim monopolistą, by samolotom móc zmiatać cywilizacje z drogi, domyślamy się zaś, że dla rozszerzenia monopolu zostać musi jeszcze większym miljonerem. Umysł, myślący kontynentami, z natury rzeczy szuka kontynentów, gdzie kultura nie tamuje wymiany handlowej. Nie biorąc przypuszczalnie w rachubę Arktydy i Antarktydy (najlepiej odpowiadających celowi na pierwszy rzut oka, bo nie zatrutych złudzeniami patrjotyzmu), rzuca orle spojrzenie na rozłogi Rosji i Syberji, zostające pod nominalną władzą sowietów i dochodzi do wniosku, że sowiety są za biedne, żeby się na wiele światu zdać mogły. Chwilę zatrzymuje wzrok na innym wielkim i ludnym kraju, (Ameryka — przyp. red.) uważając go słusznie za jedyne wielkie zbiorowisko ludzi, nie podzielone granicami narodowemi. Jest to zarazem jedyna społeczność, z której p. Wells mógłby być wysiudany za oświadczenie, że wierzy w Ewolucję i mógłby czasem być ukarany za zapale-

nie papierosa, a czasem nie być ukarany za spalenie murzyna żywcem. Powyższe dostatecznie wskazuje, jak szeroka jest ideologja tych szerokich kontynentów.

Cobyśmy pomyśleli o człowieku, któryby zaczął uskarżać się—może słusznie — że dzwonki elektryczne na pewnej ulicy są źle założone, albo często się psują, a potem zaproponował, aby w każdym domu poświęcono swoisty tryb życia rodzinnego na rzecz ulepszenia dzwonków? Aby Brownowie wyrzekli się obyczajów cyganerji, Smithowie muzyki a Robinsonowie czytania książek i zabaw z dziećmi, bo wszystko to utrudni funkcjonowanie nowego systemu dzwonków? Czy mają dla tej idei wyrzucić meble, porozwalać ściany i utracić domy? Wiele dałoby się za tem powiedzieć, nasuwa się tylko wątpliwość, czy potrzebne są dzwonki bezdomnym? i pocóż korzystać z komunikacji, jeśli wszystko wszędzie jednakowe?

Lecz we mnie sprawa ta budzi zainteresowanie niemal autobiograficzne, bo przenosi mnie w odległe czasy sporów o Rhodesa, Kiplinga i czerwony kolor na mapie. I z dziwnem wzruszeniem, jakby wywołanem przez szczególny zbieg okoliczności, wspominam, że także w owych czasach, przed wszystkiemi zmianami, co zaszły w stosunkach osobistych i nieosobistych, p. Wells i Shaw stali po stronie owych kosztownych imperjów, ja zaś stronie mniejszych ustrojów. W praktyce popierali bowiem imperjalizm, mimo, że nie poczuwali się do patrjotyzmu. W każdym razie byli po stronie wielkich bataljonów albo wielkich bateryj — zwłaszcza elektrycznych. Bardziej może gustowali wtedy w niszczeniu, dziś zaś uśmiercanie elektrycznością wychodzi z mody. Lecz nawet wtedy imperjalny pokój uważano za jedyny cel imperjalnej wojny, i wydaje mi się, że pokój, za jakim się dziś apostołuje, również jest w istocie swej imperjalny. Ma on podbijać, a zatem brać w niewolę, tylko że chodzi tu nie o panowanie jednej kultury nad innemi, lecz o panowanie bezbarwnej, abstrakcyjnej idei komunikacji nad wszystkiemi kulturami. To znów ta sama sprawa kolei — Kair - Kapsztadt, tylko, że Anglików co tę kolej budują, historja Canterbury obchodzi równie mało, jak historja Kairu. Chcę tu uwydatnić, że świat Wellsa i Webba rozszerzał się wówczas w nieokreślony sposób, rozszerza się wciąż jeszcze i poza rozszerzaniem się niezdolny jest do niczego. P. Wells jest wciąż uwięziony w nieskończoności i nie może uciec ze swego bezkreśnie rozszerzalnego więzienia. Myśliciel tej szkoły ciągle jeszcze stara się uleczyć wady jakości przez powiększenie ilości. Jeśli ciasno mu w obrębie krajobrazu, myśleć może tylko o mnóstwie krajobrazów, jeśli ludzie zachowują się jak głupcy, on proponuje zebrać więcej ludzi i więcej głupców.

Co do mnie to z każdym dniem lepiej pojmuję, że to, czego świat potrzebuje, to naprawa wgłąb, a nie wszerz. Nic nie warte jest rozszerzanie się bez podniesienia jakości. Imperjaliści z przed lat dwudziestu chcieli znieść granicę pomiędzy Burami a Brytami, a znieśli granicę między Żydami z Johannesburga i nieprzyjaznymi nam Holendrami z Kraju Przylądkowego (Cape). W razultacie jedni i drudzy połączyli się przeciw nam i teraz stan tej granicy jest gorszy, niż pierwotnie. Internacjonaliści dzisiejsi chcą znieść sto granic w stu różnych miejscach, rezultat będzie zawsze ten sam: koalicja najmniej związanych z ziemią i najmniej uczciwych elementów, związująca się w międzynarodową konspirację przeciwko wszystkim innym żywiołom. Typowym przekładem współczesnym są stosunki angielsko-amerykańskie. Radjo, lotnictwo i t. d. — to niewątpliwie gest gigantyczny, który słusznie nazwać można „wyciągnięciem rąk poprzez morze“—Ręce wyciągnięte przez morze oznaczać mogą wszystko od plądrowania kieszeni do szczutka w nos, lecz w rzeczywistości ten rodzaj stosunków powoduje coś jeszcze gorszego: oto wymianę złych nałogów i wulgarności. Nigdy zaś nie prowadzi do wymiany cnót. Londyńczyk może stać więcej Amerykaninem, lecz nie stanie się więcej demokratą. Nie można przenieść typu arystokraty angielskiego, ale można do pewnego stopnia przenieść typ angielskiego snoba. Można naprzykład zainstalować w bogatych domach amerykańskich ten najbardziej niemiły typ Anglików: wyższą kategorję służby domowej zatrudnionej u bogaczy. Cała ta wymiana na wielką skalę do tego się sprowadzi. I zawsze będziemy na tem stratni.

G. K. CHESTERTON

LIST OJCA CONRADA

W ZBIORACH d-ra Augusta Łozińskiego we Lwowie znajduje się list Apolla Korzeniowskiego, ojca Conrada. Nie ma on daty, ani adresu, ale z treści dość łatwo te okoliczności można odtworzyć. Ojciec p. Łozińskiego dostał go w darze od Karola Szajnochy, co na autografie zanotował. Na pierwszej stronie listu jest także u góry napis: „Apollo Korzeniowski“, położony prawdopodobnie ręką Szajnochy. Według nas list pisany był do Karola Szajnochy w r. 1859.

Oryginał listu przedstawia się jako 6 stron papieru listowego o wymiarach $13 \times 20^{1}/_{2}$ ctm. Papier żółty, a raczej pożółkły ma u góry winietkę tłoczoną z literami „A. K.“ w ozdobnym otoku z pięcio-pałkową koroną. Pismo drobne i ścisłe, charakterystyczne dla tej epoki, staranne, ale niezbyt czytelne.

Dzięki uprzejmości właściciela, za którą mu wdzięczność wyrażamy, możemy ten ciekawy list ogłosić w „Myśli Narodowej“. Podajemy go w dosłownej kopji, zachowując pisownię i podkreślenia. W przypiskach u dołu podajemy objaśnienia, na jakie redakcję stać było.

List ten Ap. Korzeniowskiego przyczyni się do odtworzenia atmosfery ideowej, którą oddychał ojciec Conrada i w której upłynęło dzieciństwo syna. Przyzwyczajeni spoglądać przez syna ku ojcu, czytając dokument ten, poprawić możemy perspektywę, spoglądając od ojca ku Józefowi Konradowi, jako ojcowskiej nadziei, domniemanemu dziedzicowi duszy narodowej ojca i przypuszczalnemu realizatorowi jego pragnień i marzeń.

Dla informacji dodajemy parę niezbędnych objaśnień: Apollo Korzeniowski herbu Nałęcz urodził się w Honoratce na Podolu 21 lutego 1820 r.; w 1855 ożenił się z Eweliną Bobrowską, siostrą pamiętnikarza Teodora Bobrowskiego. Józef Konrad (późniejszy Conrad) przyszedł na świat dn. 6 grudnia 1857 r. W r. 1859 Apollo Korzeniowski zamieszkał w Żytomierzu, z tego okresu pochodzi właśnie list poniższy. Później miało przyjść aresztowanie za udział w ruchu narodowym (1861) i wygnanie w głąb Rosji, skąd po latach pozwolono zesłańcowi wyjechać zagranicę. Zmarł w Krakowie w r. 1869.

Pogrzeb ojca opisał syn w *„Poland Revisited“* (szkic ze zbioru *„Notes on Life and Letters“*), garść

wspomnień z czasów zesłania dał w „*Personal Record*“ (p. zwłaszcza rozdział III).

APOLLO KORZENIOWSKI DO KAROLA SZAJNOCHY

(Żytomierz, 1859).

Sercem uczczony Ziomku. Ugodniliście mię Waszym listem: chowam ten dyplom na szlachectwo, aby mój syn poczciwą znalazł spuściznę po mnie; a w chwilach smutku, zniechęcenia, opadnięcia rąk będę odczytywał wyrazy Wasze. One mnie pocieszą—podźwigną.

Podpis mój na zbiorowem piśmie od Wydawnictwa, był zarazem podpisem na wyrażonych tam myślą i piórem uczuciach moich dla Was. Byłem tyle szczęśliwy, że koledzy moi z Wydawnictwa podzielali me zdanie. Dla tego to nic osobnego nie pisałem do Was, gdyż co powiedział Redaktor-Sekretarz Wydawnictwa, to Apollo Korzeniowski czuje i w życie wprowadza [1]).

Zaczepiliście biédę, Ziomku Szanowny, gdy pochyliliście się ku mnie s tą dobrocią zasłużonego serca, które wszystkich godnymi swych łask widzi. Pytacie mnie o mnie, co robię, jak pracuję t. j. kto jestem.—Nierospisywałbym się długo, gdybym od znajomych niewiedział, że przy Waszych biednych i bolących oczach, są poczciwe, zacne niewieście oczy, które pracują z Wami i zechcą mię Wam przedstawić: [2]) bo to ich obowiązek, za który cały kraj wdzięcznością i błogosławieństwem im płaci. Aby długo i radośnie mogły patrzyć na szczęście dziatek swoich:—dla Matki nic lepszego i piękniejszego powiedzieć nieumiem.

Moja historja — to zwykły los tutejszych ludzi, którzy ludźmi być niezaniechali. Wszystko poczerpnąłem życie, myśli, uczucia ze skarbów domowego ogniska [3]). Musiałem kształcić się w Uniwersytecie Petersburskim i za to Bogu niosę dzięki, bo wyniosłem s tam tąd przekonanie iż świątynią mi zawsze, a placem życia do czasu — tylko domowa strzecha. Muszę siedzieć w tych trzech guberniach, bo nawet do Odessy i Warszawy niepodobna mi wyjechać. Muszę być dawnym tylko szlachcicem, a nie heroldijnym, bo żadną miarą niemogę rozstać się z dokumentami, aby je przed cudze oczy oddawać. Muszę pisać—bo nic innego robić jak na ten czas niemogę. Muszę zamykać się jak najszczelniej w małem gronie jedno-myślących bo różnorodne a zwykłe u nas towarzystwo nie jest mi do myśli i godności mej. Musiałem do tych czas siedzieć na wsi, bo tylko po wsiach znajdowały się rozpierzchłe siły do życia. Musiałem osiąść w Żytomierzu [4]) i z Wydawnictwem się połączyć, bo to pierwsze u nas stowarzyszenie z wyższym celem, które jakie takie środki w ręku swym zgromadziło. Więc i mój grosz weń rzuciłem, całą swą pracę dałem a myślą moją chcę je ożywić i ożywię — tak mi Boże dopomóż!

Widzicie więc, że zasługi niema w mojem życiu bo tylko same musy w niem rolę grają. Nie ma za co szanować—bo tylko obowiązek, nic nad obowiązek, spełniam. Można czasami westchnąć do Boga, abym nieupadł, a użalić się gdy siły się wyczerpią w tej okropnej walce ze swojem i z cudzem.

Mam żonę, która całem życiem ze mną się dzieli, a imię jej Ewelina; mam dziecię kilkunastomiesięczne—syna, a imię mu Konrad. Żona mi we wszystkiem pomocą, nieraz natchnieniem. Dziecię—to moja nadzieja na przyszłość, że zostawię po sobie serce, które uderzy tak od razu, jak bije moje po długiej a ugadniającej męczarni i będzie tem, czem ja marzyłem, że będę. Sam mam lat 36 [5]).

Oto cała historja moja przeszła—dzisiejsza i przyszła. Znacie już moją Komedję i Przedmowę do Czattertona. Dziś w druku w Petersburgu w drukarni „Słowa“ a dziś Ohryzki druga komedja p.t. „Dla miłego Grosza“ [6]) którą bez pozwolenia Waszego pozwoliłem sobie Wam przypisać. Piszę mnóstwo rzeczy, które mi zawsze cenzura odsyła z napomnieniem. Napisałem Studja nad Alkadar'em Chojeckiego Edmunda, które Hotel Lambert wzbronił Wiadom. Pols. w Paryżu ogłosić. Napisałem spory tom poezji p.t. Czyścowe Pieśni, które gdzieś się wałęsają bez pasportu nim się drukiem obleką [7]). Teraz piszę komedję p.t. „Praktyczny człowiek“ i korespondencję do Gazet miejscowych s podpisem: Nałęcz ze Słowa. Bo to jedno było pismo z przyszłością i tam w dodatku jedynym który wyszedł jest mój artykuł „O czasopiśmiennictwie naszem“ z podpisem Nałęcz.

Ach, mój Boże! Gdyby pogawędzić z Wami blisko — trzymając Waszą rękę. Nic z tego. Aleście mi dali wielką rozkosz zapytawszy kto jestem i co robię — bo przecie mogłem Wam o sobie powiedzieć. Taki to zawsze ludzki egoizm.

Niechce się rzucać pisania—ale czego nadto tego i za wiele. Wkrótce odbierzecie umowę Wydawnictwa o Wasz rękopism opartą na Waszym liście. Ja się postaram, aby wydanie było piękne i korektę wezmę w moje ręce.

Dosyć tego. Zachowajcie mię w pamięci Waszej, jako powolnego sługę, wdzięczne serce za Wasze dla kraju prace. Wierzcie mi, że lubiąc bawić się marzeniem, to nie raz nierozłączając się, ze swoimi, myśl biegnie Was do ogniska naszego zaprosić. A w tym małym domku w Żytomierzu biedny poeta (czy poeta?) młoda jego żona, kilku przyjaciół cichą wiodą rozmowę i Wasze nazwisko z serc nierzadko na usta idzie i Wasza myśl duchowa się czyta i tak się Was traktuje tu, jak najpoczciwszego krewnego, a dobroczyńcę.

Nigdy nieskończę, gdy Was niepożegnam, więc żegnam krzyżem wszelkich błogosławieństw naszych na żonę, na dziatki, na pracę Waszą.

Bywajcie mi zdrowi, — o chce się powiedzieć do widzenia! Do widzenia ale w duchu!

Wasz sługa

AP. KORZENIOWSKI

P. S. Wskażcie mi jakie źródło i gdzie je znaleść do napisania Dramatu. — Rejtan?

Marzę — marzę o tem.

---

[1]) Zamierzono w Żytomierzu w tym czasie akcję wydawniczą. Karol Szajnocha wydał tam „Opowiadania o Janie III.“ cz. I Mściciel. Żytomierz 1861 (Według Korbuta 1860, według Chlebowskiego 1861).

[2]) W r. 1858 Szajnocha utracił wzrok i dlatego ustąpił ze stanowiska kustosza w Zakładzie Narod. im Ossolińskich.

[3]) J. Conrad o swej zależności moralnej od gniazda mówi w „*Personal Record*“: „... sumienie moje, dziedzictwo wieków, rasy, grupy, rodziny, zabarwialne i plastyczne, urobione przez słowa, spojrzenia, czyny, jak również to, co było pokryte milczeniem lub powściągnięte, a osnuło się dokoła mojego dzieciństwa“... (P. R., Nelson, str. 200).

[4]) Prof. G. Korbut (Literatura polska III, 617) podaje, że Korz. osiadł w Żytomierzu w r. 1860. Musiał już tu być w r. 1859, jak widać z tego listu, w którym mowa o kilkunastomiesięcznym Konradzie. Gdyby pisał w r. 1860, określiłby wiek conajmniej cyfrą 2 lat (urodz. grudz. 1857).

[5]) Tu nieścisłość; ur. 1820, więc conajmniej 39 lat.

[6]) „Komedja i Strofy oderwane“. Wilno 1856: Korzeniowski przełożył Al. de Vigny „Czattertona“ (Kijów 1857).—„Dla miłego grosza“ komedja wyszła w „Piśmie zbiorowem Józefa Ohryzki, t. II Peters. 1859.“ Tutaj mamy potwierdzenie daty listu przez nas przyjętej.

[7]) Dotąd niewydane. Ob. Korbut Literatura pol. III.

LIBERUM VETO

Zamordowanie prezydenta Łodzi. — Obrona zbrodniarza. — Bezprawie karane i sławione. — Gwałcenie prawa pod maską i bez maski. — Zgniła część za całość. — Zanik odpowiedzialności.

PREZYDENT miasta Łodzi, M. Cynarski, został zamordowany przez mściciela obrazy dyktatorów proletarjatu, których rozkazom nie chciał się poddać przy najmie robotników, czy też za jakiś inny opór tej osobliwej najwyższej władzy, która wszelkie nieposłuszeństwa karze bez sądu.*) Na dwa dni przed zabójstwem odwiedził mnie. Widziałem go po raz pierwszy, a przedtem słyszałem o jego wielkiej wartości moralnej, administracyjnej i umysłowej. Rzeczywiście w rozmowie zarysował mi się nie zmechanizowany urzędnik, ale człowiek o bardzo szerokim widnokręgu umysłowym, o dużej skali uczuciowej, obywatel i działacz społeczny, którego każde słowo miało zdrowe ziarno rozumu i wdzięk szlachetności. Oprawca, kat „czerezwyczajki", tego samego człowieka, dzielnego obywatela i zasłużonego działacza, zbójeckim nożem zgładził. Gdy rozbiegła się po kraju ta potworna w swej ohydzie wiadomość, jedna z wielu podobnych, ale jedna z najbardziej wstrząsających, otworzyła przed naszemi oczami tę straszną otchłań, w którą zbrodnia spycha społeczeństwo po stromej pochyłości. Znękani długą chorobą i nieszczęściami znowu zapytujemy: kto po wyzwoleniu narodu tak głęboko znieprawił jego szlachetną duszę, która podczas niewoli promieniowała olśniewającym blaskiem? Okrutne życie, czy podli ludzie? Życie było zawsze i wszędzie niemiłosiernem i kuszącem do występku, ale dla nas w obecnej dobie nawet szczególnie łaskawem, więc nie ono nas zdemoralizowało. Przerzuciło nas nagle z niedoli do szczęścia, pozwoliło zagoić rany, wzmocnić zwątlone siły i stwarzać pomyślne istnienie. Nie skorzystaliśmy z tej zmiany. Naród z natury dobry i łagodny, ale właśnie przez te przymioty bierny, uległy i niezdolny do objawienia instynktu samozachowawczego, całą swoją masą wszedł a raczej wprowadzony został przez złą i głupią wolę na najniebezpieczniejszą ze wszystkich drogę samowoli i bezładu. Uzwyczailiśmy i uprawniliśmy bezprawia od góry do dołu piramidy społecznej, na wszystkich jej przecięciach i stopniach. Zaznaczyłem to w poprzednim fejletonie; zamordowanie Cynarskiego dostarczyło nowego tematu a nie jest to ostatnie ogniwo sromotnego łańcucha. Jutro, pojutrze przyczepią się dalsze. Wymagamy za wiele, żądając od dzikich, brutalnych, rozkiełznanych, wielogatunkowych Kainów i Chamów, którzy są bardzo rozmnożonym rodzajem ludzkim naszego czasu, ażeby ich jakikolwiek skrupuł powstrzymał od zbrodniczego czynu, dogadzającego zwierzęcej żądzy lub zemście. Dlaczego oni mają powciągać się od najohydniejszego gwałtu, jeśli widzą spełniany bezkarnie nie tylko wokoło siebie, ale nad sobą? Dlaczego oni mają szanować prawo, jeśli na wszystkich piętrach gmachu społecznego spostrzegają panoszące się bezprawie? Mylą się wielce posiadacze uprzywilejowanych stanowisk, mniemając, że ich samowola zamyka się w obrębie ich władzy i nie sięga swym wpływem poza jej granice. „Jest to przekleństwo złego czynu — mówi poeta-myśliciel — że on złe rodzi". Nie tylko moda, nie tylko zwyczaje górnych warstw społeczeństwa odbijają się w jaskrawych i karykaturalnych kopjach na jego dolnych pokładach. Za przykładem bogów idą śmiertelnicy. Przez naśladownictwa mnożą się szybko odbicia zgubnych obyczajów, przez prężność zarazy szerzy się epidemja niemoralności, oddychamy atmosferą miazmatyczną, która nas zatruwa i wyniszcza. Gdyby schwytany zbój łódzki, stanęwszy przed sądem, umiał się bronić wpływem tej atmosfery i szeroką gangreną sumień, mógłby powiedzieć: Dlaczego ja mam być szczególnie winnym i szczególnie karanym? Czy mój czyn w istocie swojej różni się od innych nie tylko nie potępianych, ale nawet chwalownych? Alboż nie zabija się ludzi dlatego że zagradzają komuś do czegoś drogę? Moje morderstwo było samosądem, a czyż tamte nie są również samosądem? Pogwałciłem prawa? Gdzież dziś jest nienawistne prawo, obowiązujące wszystkich od najmizerniejszego prostaka do wysokiego dostojnika? Przykazania religijne, zasady moralne, artykuły kodeksowe to nie są przecie kajdanki przeznaczone dla tych tylko, którzy pozwalają je sobie nałożyć, to nie są zapory rogatkowe, które zatrzymują jadących ubogim wozem a podnoszą się dla jadących w zbytkownej karcie, to nie są warty przy twierdzy, które zatrzymują pragnących do niej wejść w zwykłej odzieży a przepuszczają ubranych w mundury. Tak jest. Zredukowanie zbiorowej odpowiedzialności do winy pojedyńczego przestępcy jest zabijaniem kozła ofiarnego za grzechy wielu winowajców. Wtedy tylko bezprawie ponosi zasłużoną karę, gdy jest wyjątkiem a poszanowanie prawa regułą. My ciągle skupiamy naszą uwagę i odrazę na złoczyńcach ordynarnych gwałcących prawo bez maski, a nie rozszerzamy naszej zgrozy na występujących pod ozdobną maską. Nie poprzestańmy na spowiedzi i pokucie pojedyńczych grzeszników, lecz odbądźmy spowiedź powszechną i rozłóżmy pokutą na wszystkich grzeszników. Niech prawo przystanie być zbrukaną i podeptaną przez wiele nóg scierką i niech będzie czystym, ogólnie czczonym, przez nikogo nieszarganym i niezniеważanym sztandarem życia — wtedy zmniejszy się liczba zbojów i ich ofiar. Na mogile Cynarskiego trzeba uklęknąć i uderzyć się w piersi a między proszącymi o przebaczenie powinno się znaleźć nawet wielu z tych, którzy jego mordercę gotowi są ciągnąć pod szubienicę.

W nierozerwalnym związku z bezprawiem pozostaje zawsze nieodpowiedzialność. Pomyślmy, ilu jest urzędników i działaczów państwowych na wszelkich stanowiskach, ilu redaktorów i pisarzów, którzy czują i pamiętają o tem, że każdy ich czyn, każde słowo nakłada na nich odpowiedzialność społeczną, że cokolwiek zrobią lub powiedzą, zrodzą się z tego pewne skutki, posiadające wagą dla jednostek i ogółu? Rozpaczliwy rachunek. Z małemi wyjątkami spostrzeżemy bezczelność, która nie dba o te następstwa, lub bezmyślność, która ich wcale nie widzi. Urzędnik, przewiekający lenistwem lub gmatwająby partactwem powierzoną mu sprawę, dziennikarz puszczający w obieg artykuły bez zastanowienia, agitator podpalający umysły na wiecach ogniem kłamstw i podnieceń; minister lub dyrektor, wydający rozporządzenia wysnute z kaprysu, z interesu osobistego lub partyjnego, oddający ważne posterunki krewniakom lub faworytom — wszyscy ci tkacze historji życia bieżącego, ozdabiający ją dziwacznemi lub wstrętnemi obrazami swej niedołężnej lub swawolnej fantazji, nie obciążają swych małych, robaczywych dusz żadną odpowiedzialnością. To też więdną i zasychają w najżywotniejsze sprawy, rozlatuja się na wszystkie strony szpetne kłamstwa o krótkich skrzydłach i długich dziobach, wytwarza się w opinji mieszanina cuchnących i dławiących swędów i wyziewów potwarzy, fałszywych posądzeń i oskarżeń, śród któ-

*) Według pierwszych doniesień mordercą był malarz bez zajęcia, a jego pomocnikiem bandyta, który wraz ze swym wspólnikiem mścił się na prezydencie jako na sprawcy bezrobocia. Jakiej roboty żądał bandyta?

rych lęgną się moralne kalectwa i potworne zbrodnie, za które nikt nie przyjmuje odpowiedzialności i których każdy się wypiera, chociaż jest ich sprawcą lub ojcem. Obliczamy tylko skutki, ale nie regestrujemy przyczyn. A tymczasem Cynarscy giną.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

PRAWORZĄDNOŚĆ

„GRUPY czy organizacje, które zdobyły władzę przemocą, skłonne są traktować państwo, jako teren okupowany... Ale obóz, który dąży do wytworzenia spójnej potęgi narodowej, musi bardzo wysoko cenić siłę moralną, której przejawem jest poczucie prawne społeczeństwa, i ze szczególną pieczołowitością dbać o ugruntowanie praworządności w życiu publicznem, jako podstawy cywilizacji." *)

Powyższy cytat dostatecznie zupełnie wyjaśnia przyczynę, dla której już w pierwszej serji „Wskazań Programowych Obozu Wielkiej Polski" znalazło się miejsce na zeszyt specjalny, poświęcony zagadnieniu „Praworządności". Nikt zaś chyba w Polsce nie nadawał się bardziej do głębokiego i twórczego ujęcia tego tematu, niż profesor Bohdan Wasiutyński, wybitny publicysta, a jednocześnie znakomity znawca prawa administracyjnego, a więc badacz tej właśnie dziedziny prawa, która z natury rzeczy najbliżej z zagadnieniem zapewnienia praworządności w życiu publicznem jest związana. Nic też dziwnego, że „Praworządność" prof. Wasiutyńskiego posiada jednocześnie i wartości aktualne i trwałe, jest — pomimo swej zadziwiającej zwięzłości — niezwykle bogatą w treść, stanowiącą cenny dorobek polskiej myśli politycznej.

„Każda społeczność trwała — stwierdza na początku prof. Wasiutyński — musi być zorganizowana. Organizacja oznacza uregulowanie stosunków na podstawie prawnej". Mimo to, „poczucie prawne" w społeczeństwie, wynikające z pojęcia indywidualnej wartości jednostki ludzkiej i zrozumienia godności człowieka, wytworzyła dopiero cywilizacja rzymska, a przedewszystkiem wielki dziedzic jej tradycyj, wychowawca narodów Europy, Kościół katolicki. „Rzecz ciekawa— zauważa prof. Wasiutyński, — że pierwsi wystąpili przeciwko bezprawnej działalności państwa teologowie katoliccy w średniowieczu".

„Pierwszym warunkiem państwa praworządnego jest panowanie ustawy," które zapewnia jednakowe traktowanie wypadków poszczególnych i wyklucza dowolność postępowania władz. Ustawa jednakże nie ma być arbitralnem narzucaniem społeczeństwu swej woli przez ciała ustawodawcze, ale raczej powinna stanowić jedynie sformułowanie panujących w społeczeństwie poglądów prawnych. Nic też nie jest w wyniku szkodliwsze i bardziej dla państwa niebezpieczne, niż uchwalanie „ustaw sprzecznych z poczuciem słuszności, powstających pod dyktandem namiętności społecznych, mających być wyrazem zwycięstwa jednostronnego stanowiska klasowego". Odstraszającym przykładem są pod tym względem nasze ustawy o wykonaniu reformy rolnej, ochronie lokatorów, o podatku dochodowem czy spadkowym. „Trzeba zaznaczyć" — dodaje dalej prof. Wasiutyński — „że samo państwo bynajmniej nie dawało przykładu uczciwości, gdy na drodze ustawodawczej regulowało swą działalność... Czy państwo np. może liczyć na kredyt wewnętrzny, jeżeli w sposób formalnie legalny pozbawia własności swych wierzycieli, którzy podpisali pożyczki państwowe?"

Skutecznym sposobem organizacji państwa praworządnego jest t. zw. system podziału władz. Zabezpiecza on „równowagę wewnętrzną, zapewnia przewagę ustalonych kompetencyj nad dążeniem do bezwzględnego panowania". Ponieważ zaś, w przeciwieństwie do władzy ustawodawczej i wykonawczej, które są organami polityki, władza sądowa działa w atmosferze spokoju, ona więc „winna mieć prawo kontrolowania pod względem prawnym, czy władza ustawodawcza, zarówno jak władza wykonawcza, działają w ramach swych funkcyj". W tym celu jednak konieczna jest reforma obowiązującego obecnie ustawodawstwa, przedewszystkiem zaś stworzenie organu sądowego, któryby mógł badać zarzut niekonstytucyjności ustaw. Ponadto prof. Wasiutyński proponuje: „1) rozszerzyć za wzorem francuskim możność zaskarżania aktów administracyjnych, 2) nadać Trybunałowi prawo wydawania orzeczeń, zmieniających decyzje władz administracyjnych (a nie tylko, jak obecnie, ich kasowania), gdy stan faktyczny jest jasny a norma prawa nakazuje wydanie określonej decyzji; 3) przyśpieszyć rozpatrywanie spraw przez sądy administracyjne, przez utworzenie przewidywanych przez konstytucję niższych sądów administracyjnych".

Konstytucja polska przewiduje odpowiedzialność państwa wobec obywateli za szkody, wyrządzone im przez działalność nieprawną jego organów. Jednak wobec braku ustawy, wypełniającej tę zapowiedź konstytucyjna, odpowiedzialność ta w rzeczywistości nie istnieje. Jasne jest też, iż ustawa taka powinna być jaknajszybciej wniesiona przez rząd i uchwalona przez Izby prawodawcze. Ale prof. Wasiutyński idzie dalej. Zgodnie z najnowszemi prądami w nauce, zwłaszcza francuskiej i orzecznictwem francuskiej Rady Stanu, uważa on, iż „państwo współczesne ma wogóle obowiązek wynagrodzenia szkód, wyrządzonych i przez zgodne z prawem czynności urzędów... jednostka nie powinna ponosić na rzecz powszechności specjalnych ofiar, ciężarów które nie spadają na innych obywateli, będących w podobnem położeniu." Ten postulat jest jedynie wnioskiem z zasady ogólnej, utrwalonej w poczuciu prawnem społeczeństwa: „Sumienie społeczne jest wrażliwe na równe traktowanie obywateli pod względem prawnym. I nic tak nie podważa autorytetu rządu, jak kierowanie się względami ubocznemi, politycznemi przy wykonywaniu przepisów prawnych. Najbardziej je oburzają akty zemsty ze strony rządu na ludziach, którzy, postępując zgodnie z prawem, a nawet broniąc prawa, byli mu w danej chwili niedogodni".

Zgodne z prawem sprawowanie władzy wymaga należytego poziomu biurokracji. W tym celu konieczne jest: 1) zabezpieczenie stałości stanowisk urzędniczych 2) niedopuszczenie do faworytyzmu przy powoływaniu na służbę państwową i przy awansach. Nic nie jest w naszych warunkach niebezpieczniejsze, niż „amerykański „system łupów", obsadzania urzędów przez zwycięską partję, wynagradzania w ten sposób kosztem państwa zasług partyjnych agitatorów".

„Cywilizacja zachodnia — kończy swą piękną pracę prof. Wasiutyński — „zapewniając w granicach prawnych niezależność jednostki, wytworzyła w człowieku szacunek dla samego siebie, poczucie godności osobistej. W imię tej godności osobistej i szacunku człowiek gotów jest narazić swe życie, bezpieczeństwo, spokój, ale nie zaprzeczy samemu sobie, nie poniży się ze strachu przed samowolą... Jeżeli tacy obywatele

*) Obóz Wielkiej Polski. Wskazanie programowe. Zeszyt IV. Praworządność, napisał Bohdan Wasiutyński. Cena zeszytu 2 zł.

mają władzę w państwie, naród ma pewność, że dla doraźnych celów porządek prawny nie będzie naruszony, że prawo będzie w każdych okolicznościach bezwzględnie przestrzegane. Jeżeli bronią prawa przeciw samowoli władz państwowych, prawo wkońcu zwyciężyć musi".

JESZCZE O NIEREALNYM KRZEMIEŃCU

ZNANY pisarz, znakomity znawca sztuki, prof. Władysław Kozicki w „Słowie Polskiem" ocenia opinję, wyrażoną w „Myśli Narodowej", że Słowackiego pochować należy w Krzemieńcu, jako ważką:

> Za Krzemieńcem przemawiają motywy uczuciowe, życzenie samego poety, jego pragnienie, by go pochowano obok ukochanej matki, a także względ na olbrzymie znaczenie, jakie grób Słowackiego na Wołyniu mógłby mieć dla sprawy unarodowienia kresów wschodnich.

Zdawałoby się, że są to argumenty decydujace: 1) wola samego poety, 2) interes narodu, który zawsze jest rozkazem. A jednak autor daje artykułowi swemu tytuł: „Tylko Wawel", a myśl o kresach odrzuca, jako niepraktyczną:

> „Krzemieniec leży zbyt blisko granicy bolszewickiej, a zbyt daleko od obecnych ośrodków kulturalnych".

Uważamy to stwierdzenie za zupełnie słuszne, ale właśnie z tych powodów grób w Krzemieńcu, jak to również stwierdza autor, „miałby olbrzymie znaczenie".

Autor uznaje tylko ten argument, że „prochom Słowackiego musi być przeznaczne miejsce najzaszczytniejsze" — w Panteonie, a więc na Wawelu.

> „Gdyby Słowacki był Anglikiem pochowanoby go niechybnie w katedrze Westminsterskiej, gdyby był Włochem, spocząłby w Panteonie rzymskim.., gdyby był Francuzem, leżałby w Panteonie paryskim"...

Być może, ale trzeba się liczyć raczej z faktami. Z wymienionych zaś królów duchów: Leonardo da Vinci, Michał Anioł, Shakespeare, Goethe, o ile wiemy, żaden nie jest zmagazynowany w stołecznym panteonie. Shakespeare za „najzaszczytniejsze" dla siebie miejsce uznał swój rodzinny Stratford. To tylko wiemy, że Francja, czy Włochy w podobnym wypadku nie szukałyby analogji w przypuszczeniu, coby zrobiła Polska, Belgja, Szwecja. Zdawało się nam przytem, że mamy ustalone poczucie, czem jest Wawel królewski. Pokazuje się, że nie. Chcemy z niego zrobić to, co ludzie chcą robić z Tatrami dlatego, że są miejscem najwyniośląjszem: zaludnić je grobowcami i tablicami. Także Panteon. Ale słusznie J. Gw. Pawlikowski gromi te pomysły (z powodu Asnyka) w tymże numerze „Słowa Polskiego".

Interesujące są argumenty szeregu pisarzy w ankiecie „Wiadomości Literackich".

Jeden z profesorów literatury pisze: „Twórca Króla Ducha musi spocząć obok Mickiewicza. Nie można absolutnie dopuszczać myśli, aby jakiekolwiek względy stanęły na zawadzie."

Inny profesor dowodzi pracowicie, że Słowacki był wielkim poetą, jakby kto temu przeczył. St. Przybyszewski zaś ma taki argument: „Z największą czcią i wdzięcznością zwracam się do pana Prezydenta Rzpltej, z największem uwielbieniem dla Pierwszego Marszałka Polski Piłsudskiego i do nich zanoszę prośbę, by ich autorytet zaważył na szali tej dla całego narodu tak ważnej sprawy".

Wyróżnia się opinja Stefana Kołaczkowskiego.

> „Warszawa wtedy stanie się prawdziwą i duchową Stolicą Polski... gdy nauczy się marzyć o podniesieniu dzielnic—w perspektywie wieków".

Kołaczkowski opowiada się ze Krzemieńcem. Utrzymuje przytem, że spraw kultu narodowego nie można załatwiać drogą administracyjną, a mybyśmy dodali: i drogą—archiwalną. Historycy literatury, którzy się tą sprawą zajęli, traktują Wawel, jak bibljotekę. Jest Mickiewicz, więc tu też należy Słowacki. Gdy już w grobach będzie pełno, wtedy się wyda katalog alfabetyczny autorów tam spoczywających.

Kwestja kultu poetów jest sprawą narodową, nie literacką. O rzeczach zaś narodowych trzeba myśleć kategorjami narodowemi, nie archiwalnemi, ani literackiemi.

Jest faktem, że potrafiliśmy sto lat temu urodzić Słowackiego na Wołyniu, ale nie mamy już warunków moralnych na to, aby go tam pochować. Krzemieniec teraz właśnie, gdybyśmy go odzyskali, jest nierealny. Był czemś, gdy był poetycki, — dla Słowackiego niedostępny.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Wybory do Rady Miejskiej w Warszawie. — Z działalności rządu. — Z polityki zagranicznej.

ROZWIĄZANIE Rady Miejskiej w Warszawie, ogłoszenie wyborów i w związku z tem z dnia na dzień wzmagająca się agitacja przedwyborcza — to niewątpliwie fakty nie o znaczeniu lokalnem, interesujące jedynie stolicę: wyniki głosowania warszawskiego mieć będą wpływ na całokształt stosunków w państwie, jako sprawdzian panujących w społeczeństwie nastrojów, próba sił wobec zbliżających się wyborów do Sejmu i Senatu. Wykażą one, jak daleko zdołały sięgnąć w ostatnich czasach wpływy agitacji komunistycznej i w jakim stopniu posunęło się w społeczeństwie polskiem uświadomienie o konieczności bezwzględnej, zorganizowanej walki z bolszewizmem. Jednocześnie wybory warszawskie będą walką o utrzymanie polskiego charakteru stolicy: mniejszość żydowska, mając poparcie mniej na godność narodową wrażliwych żywiołów polskich, wyraźnie dąży do stworzenia z polskiej Warszawy—miasta dwujęzycznego. Na kilka tygodni przed rozwiązaniem Rady Miejskiej radni żydowscy, popierani przez radnych z klubu P. P.S., wystawili żądania, aby magistrat warszawski prowadził kursy dla dorosłych w żargonie, popierał teatry żydowskie, organizował odczyty żargonowe, specjalne wycieczki z objaśnieniami w żargonie i t.p. Nie o drobiazgi toczyć się więc będzie walka wyborcza w Warszawie i żadne względy drugorzędne, uboczne nie powinny ani na chwilę przesłonić tego zasadniczego jej charakteru.

W działalności rządu w dalszym ciągu trudno dopatrzeć się jakiejkolwiek myśli reformatorskiej, jakiegokolwiek wogóle jednolitego, na dalszą metę obliczonego planu działania. „Sensacją dnia" są posunięcia i cofnięcia ministra poczt i telegrafów Miedzińskiego w sprawie liczników telefonicznych w Warszawie i donioślejsza znacznie sprawa okólnika ministra oświaty Dobruckiego o języku urzędowym w szkolnictwie. Przewodniczący komisji konstytucyjnej Sejmu, poseł prof. Głąbiński oświadczył, iż okólnik ten uważa za „akt niezgodny z postanowieniami konstytucyjnemi i obowiązującem prawem", niewątpliwie też z chwilą ponownego zebrania się Sejmu władza ustawodawcza nie będzie mogła wobec faktu pojawienia się tego okólnika zachować się obojętnie. Opinja polska rozumie doniosłość prowadzenia przez rząd właściwej polityki w kwestjach narodowościowych i nie jest

skłonna do tolerowania w tym względzie nieprzemyślanych, doktrynerskich eksperymentów.

W polityce zagranicznej trwa w dalszym ciągu pewne naprężenie stosunków między Jugosławją i Włochami, spowodowane coraz dalszem umacnianiem się wpływów włoskich w Albanji. Wydaje się jednak, iż początkowy projekt rządu jugosławiańskiego przeniesienia zatargu przed forum Ligi Narodów nie może liczyć na powodzenie, raczej należy mniemać, że bezpośrednie rokowania między dwoma państwami ułatwią na przyszłość ich zgodną, pokojową współpracę.

Na dzień 16 maja r. b. zapowiedziana jest odkładana oddawna wizyta Prezydenta Francji Doumergue'a w Londynie. Wizyta będzie miała za cel uroczyste zamanifestowanie przyjaźni francusko-angielskiej i ujednostajnienie polityki obu mocarstw wobec szeregu spraw europejskich i światowych. Jest to fakt niewątpliwie doniosły i pomyślny. Zarówno Anglja jak Francja są mocarstwami, króre w dzisiejszych warunkach szczerze dążą i dążyć muszą do utrzymania pokoju, to też ich ścisły sojusz może stać się gwarancją utrwalenia istniejących stosunków znacznie pewniejszą, niż rachuby na szerzenie się „idej pacyfistycznych" i bezprzedmiotowe konferencje genewskie w sprawie rozbrojenia.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

GENJUSZ TOSKANJI

PRASTARĄ ziemię zagadkowych Etrusków, Toskanję, słusznie zaliczają do cudów świata, była ona bowiem kolebką rasy niezwykle uzdolnionej duchowo, której cywilizacja ludzka zawdzięcza niemniej, niż starożytnym Grekom. Rodziły się na tej ziemi błogosławionej, na przełomie średniowiecza i czasów nowożytnych, przez parę stuleci—jednostki genjalne tak obficie—tak normalnie—jak na innych ziemiach rodzą się obficie, bez większego trudu, zboża rozmaite, owoce i kwiaty cudne.

Zarówno duch twórczy tej rasy i tej ziemi, jego potęga i wielostronność, jak i ogrom dzieł przez niego stworzonych, nie przestają być przedmiotem zdumienia i zachwytu: jak dawniej, tak i dziś, wciąż nowe pokolenia przez swoich wybranych przedstawicieli składają genjuszowi Toskanji hołd uwielbienia i wdzięczności.

O jednym z tego rodzaju hołdów, ostatnio złożonych, powziąć może wyobrażenie czytelnik polski z książki znanego powieściopisarza francuskiego i krytyka artystycznego, Kamila Mauclair'a, świeżo wydanej w przekładzie Leopolda Staffa p. t. „Florencja" (z 75 rycinami. Lwów — Poznań. Nakładem Wydawnictwa polskiego Str. 255).

„Nie rozprawia tutaj historyk, nie poucza krytyk sztuki" — uprzedza w przedmowie czytelników autor, który wobec wielkości tematu wolał zająć stanowisko poety, t. j. pozwolić przedewszystkiem mówić sercu swemu, wzruszonemu pięknem istoty ukochanej.

Zyskała wiele na tem książka, zyskał czytelnik, przebywa bowiem tu wciąż w atmosferze szczerych i silnych wzruszeń, będących źródłem świeżych myśli i nie banalnych poglądów.

Z gorącej miłości autora rodzą się nierzadko błędy: zachwyt nad Florencją i stworzoną przez nią kulturą czyni go czasami niesprawiedliwym względem innych ognisk kulturalnych półwyspu, np. w stosunku do Rzymu i Wenecji, i to jednak dobrze świadczy o żywości uczuć Mauclair'a.

Książka jego składa się z kilku rozdziałów bardzo nierównej wartości. Rozdział p. t. „Dzieje polityczne i społeczne Florencji" przedstawia treściwie dramatyczne koleje historji rzeczypospolitej florenckiej. Tu znać, że nieprzemawia do nas historyk, można jednak było spodziewać się, iż poeta odczuje silniej i przedstawi barwniej, niż to zrobił Mauclair, istotną dramatyczność dziejów Florencji. Jeszcze więcej razi suchość i bezbarwność przedstawienia w rozdziale o „Literaturze florenckiej". A tu już choćby tylko jeden Dante dawał dobrą sposobność wielbicielowi ducha twórczego Florencji do złożenia hołdu jednemu z najpotężniejszych jego wyrazicieli. Ba! nawet z tego powodu można byłoby uwydatnić znakomicie zasadnicze cechy tego ducha, którego żywotność i wzniosłość podziwia autor, mówiąc o tem, w innych rozdziałach książki swojej, czem się on unieśmiertelnił w dziejach cywilizacji naszej w ciągu paru wieków swej twórczości. O tem wszystkiem o dziejach polityczno-społecznych oraz literackich Florencji, pisano we Francji przed Mauclair'em lepiej, nawet w dość popularnych opracowaniach. (p. choćby z wielu względów przestarzałą książkę jednego z wybitniejszych historyków Florencji F. T. Perrens'a p. t. „*La Civilisation Florentine du XIII au XVI siècle*").

Te i t. p. zaniedbania wynagradza autor w innych rozdziałach, jak np. „Malarstwo florenckie od Cimabuego do Filipa Lippi", „Malarstwo flor. od F. Lippi do upadku"; „Architektura i rzeźba florencka;" „Oblicza florenckie"; „Wieś i dusza Florencji" i t. p., w których nietylko roztacza przed nami żywo kreślony obraz majestatycznego rozwoju w ciągu XIII i XIV w. sztuki florenckiej, lecz także sięga przenikliwie do źródeł jej natchnienia i trafnie charakteryzuje genjusz twórczy Toskanji. Zwłaszcza w ostatnich dwu rozdziałach („Oblicza florenckie" i „Wieś i dusze Florencji") z wielkiem ciepłem i polotem słowa mówi o tem wszystkiem autor, utrzymując czytelnika pod urokiem ludzi i ziemi, co ich wydała i przez których spełniła wielką rolę w dziejach cywilizacji powszechnej. Na czem polegała ziemi tej zasługa? Przedewszystkiem na tem, że na niej zrodził się ten duch świetlany, który obudził duszę ludzką do życia czynnego, wyrwał ją ze stanu bezwładu i rutyny myślowej, rozniecił w niej żywy płomień uczuć oraz dążności ku wyższym celom bytu.

„Więc wstań i niemoc niechaj w tobie zmyli, Duch, co zwycięzcą jest w każdej rozprawie, chyba go brzemię ciała ubezsili". („Piekło". Pieśń XXIV) — oto hasło, które rozległo się jakby na ziemi toskańskiej w momencie dziejowym, w którym nietylko jej życie zbiorowe obciążone było „brzemieniem ciała" (nieraz brzemieniem ciała obcego, barbarzyńskiego), tłumiącem jego pierwiastki szlachetniejsze. I duch zwyciężył: jednostka ludzka zaczęła się wyzwalać z pod przemocy niższych instynktów swojej natury, w poczuciu odzyskanej godności swej duszy, z ufnością w swoje wyższe przeznaczenie stanęła wobec życia i ukochała uczuciem silnem i zdrowem całą jego cudowną rozmaitość: miłością pomnażając władzę poznawania zgłębiała jego tajniki, jego prawdy nieśmiertelne. Odtąd nieustannie czynna, ćwicząca wszystkie władze duszy swojej, rozwijająca, w sobie i poza sobą, wszelkie wartości duchowe i materjalne, osiągnęła jednostka ludzka pełnię życia, kojarząc i równoważąc jego żywotne czynniki.

We wszelkie dziedziny swojej działalności wniósł odrodzony duch Toskanji ideę kultury ludzkiej, opartej na związku organicznym tradycji z wolnością, wiary z wiedzą, nieba z ziemią, słusznego rozumowania z natchnieniem. Syntetyczny ideał życia rozwijał się tu w miarę rozwijania się i doskonalenia ideału zupełnej osobowości ludzkiej, ideału człowieka wiecznego, który,

jak późniejsze wieki powiedzą o jednym z takich, co go najlepiej wyobrażali (Leonardo da Vinci), ma być wierzącym w rzeczach boskich, logikiem w rzeczach ludzkich eksperymentatorem w dziedzinie przyrodzonej.

W tym typie człowieka dokonywa się zespolenie istoty stworzonej z jej Stwórcą.

Genjusz twórczy tego typu ludzkiego znalazł swój wyraz niezrównany głównie w sztuce florenckiej, biorąc szerzej toskańskiej, o której, kreśląc jej dzieje, jej rozwój w ciągu paru wieków, i charakteryzując jej bohaterów, ze szczerym entuzjazmem rozprawia Mauclair. Nie jest on tak oryginalnym entuzjastą Florencji i jej genjuszu twórczego, jak np. wielki jego czciciel, J. Ruskin, jest zato od tegoż mniej jednostronnym! I Ruskin uznawał przedewszystkiem właściwych prymitywów (Giotto i t. p.) i nimi głównie się zachwycał, niespostrzegając częstokroć wielu genjalnych twórców, którzy po nich przyszli i byli ich konsekwentnem oraz pełniejszem przedłużeniem. Ruskin mógł np. przechodzić obojętnie obok fresków Ghirlandaia w Santa Maria Novella, i niemal niespostrzegać grobowca Marsuppiniego, dłuta Desideria da Settignano, niewątpliwie najpiękniejszego grobowca w kościele Santa Croce.

Entuzjazm Mauclair'a nie jest tak wyłącznym, zachwyca się on wszystkiem, co nosi na sobie wyraźnie piętno sztuki florenckiej, co wciela jej ideał.

Ideałem tym, rysem najbardziej uderzającym jest, podług Mauclair'a, dumny i czysty realizm, a raczej, jak się niebawiem sam poprawia, nierozeznalne stopienie realizmu i idealizmu, harmonijna widzialność idei, to znaczy pojednanie wszystkich dających się pomyśleć form sztuki ludzkiej.

Stolicą sztuki, która urzeczywistniła najświetniej ideał powyższy, jest niewątpliwie Florencja. Wogóle to miasto posiadało wyjątkową zdolność do syntezy i godzenia: sztuka, historja, wiara, namiętność, wszystko jest zjednoczone, wszędzie, zarówno w jego ciele materjalnem, jak i jego genjuszu, wszystkie te elementy łączą się ledwo dostrzegalnemi odcieniami.

Z tego wrażenia — powiada Mauclair — rodzi się w duchu wzruszonego podróżnika myśl, że Florencja jest istotą żywą, organizmem piękności, zawierającym wszystkie sprężyny niezniszczalnej energji.

Niema w tem przesady, wzruszać się jednak miastem Lilji Czerwonej, jak istotą żywą, potrafią ci tylko, co z miłością w sercu wpatrują się w jego szlachetne oblicze.

Wielką zachętą do tego, jest książka Mauclair'a. [1])

WŁ. JABŁONOWSKI

„POLSKA DZISIEJSZA"

WŚRÓD książek zagranicznych traktujących o Polsce z zadowoleniem powitać należy pierwszy od chwili odbudowania państwa naszego olbrzymi album informacyjny o Polsce [2]) który właśnie ukazał się we Wiedniu, budząc powszechne zainteresowanie. Ze względu na rozmiary i imponujący wygląd dzieła, zakreślonego na wielką skalę, jakoteż okoliczność, że wyszło ono w trzech językach, t. j. francuskim, angielskim i niemieckim, a więc rozejdzie się po całym świecie, nie można pominąć publikacji tej milczeniem. Niejednokrotnie już nasza propaganda zagraniczna usiłowała wpływać na opinję zagranicy przy pomocy publikacyj, oświetlających poszczególne sfery i stosunki życia naszego, po raz pierwszy jednak spotykamy się z dziełem przemawiającem do całego świata, które informując o poszczególnych dziedzinach życia naszego, chce dać niejako syntezę naszego dorobku kulturalnego i materjalnego, podkreślając znaczenie Polski w ukształtowaniu się powojennem Europy.

Wydawnictwo i nakładnicy „Allgemaine Telegraphenagentur, Genf" podkreślają w słowie wstępnem, że trzymano się tylko faktów i cyfr, które same za siebie mówić powinny bez jakiegokolwiek przesądzenia sprawy lub wdawania się w ocenę. Jak już sam tytuł wskazuje „Polska Dzisiejsza" ma charakter czysto aktualny, a raczej, ściślej mówiąc, zajmuje się tylko kwestjami współczesnemi i w czterech częściach dzieła daje krótki szkic dążeń i zdobyczy narodu polskiego.

Część pierwsza, polityczna, stojąc na gruncie pozapartyjnym zajmuje się ustrojem państwa naszego, a więc konstytucją, władzami, administracją, polityką wewnętrzną i zagraniczną, oraz organizacją wojska. Główny nacisk położyła redakcja na część drugą, zajmującą się sztuką i kulturą polską, sądząc że Polska właśnie na tem polu, przez wniesienie swych młodych i oryginalnych pierwiastków twórczości w obumierającą kulturę starej Europy, okaże swą żywotność i historyczną misję łącznika Wschodu z Zachodem.

W części trzeciej poświęconej kwestjom etnicznym na tle geograficzno-krajoznawczym wybijają się na pierw. sze miejsce: opis Tatr prof. W. Goetla i artykuł prof. S. Udzieli o ludzie i zwyczajach polskich.

Część czwarta ekonomiczna ma za zadanie pokazać położenie gospodarcze naszego kraju, a więc produkcję rolną, przemysł, handel, finanse. Ta część jednak dzieła, tak ważna dla zagranicy, wypadła może najsłabiej. Składają się na nią przeważnie artykuły o poszczególnych majątkach ziemskich, czy to zakładach przemysłowych i bankach, mają jednak charakter reklamowy i pochodząc przeważnie z przed dwu lat, kiedy rozpoczęto pracę nad dziełem, nie uwzględniają ostatniego rozwoju i postępu w tym kierunku. Poza obszernym artykułem konsula Neumanna o handlu polskim, brak syntezy życia gospodarczego całej Polski i aktualnych kwestyj ekonomicznych.

Na stronę artystyczną położoną wielką wagę. „Polska Dzisiejsza", wydana w wielkim 4-to na bardzo dobrym kredowym papierze, prócz licznych ozdób graficznych i kunsztów sztuki drukarskiej, ozdobiona jest około 2000 fotografij, ilustrujących najlepiej odpowiednie działy życia naszego. Zwłaszcza dział krajoznawczy imponuje bogactwem naszych zabytków architektonicznych i przepychem krajobrazu polskiego.

Dzieło to może oddać nam także polityczne usługi w opinji zachodniej, gdyż podkreśla silnie rdzenną polskość naszych kresów wschodnich i zachodnich i nasze prawo do nich, wobec zakusów sąsiadów, przenosząc do nich kolebkę rozwoju życia polskiego.

B. ŻUKOTYŃSKA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Bawi w Warszawie słynny poeta rosyjski Konstanty Balmont. Zasłynął już przed 35 laty swemi pierwszemi zbiorami poezyj. Jest to liryk, szeroko odsłaniający się na piękno świata, na które reaguje niesłychaną bujnością słowa. A to słowo mieni się wszystkiemi barwami poetyckiemi, dostępnemi wyobraźni malarskiej i muzycznej. Wrażliwość jego na działanie rzeczy nowych nie znajduje sobie równej wśród liryków polskich, których siłą są tęsknoty.

Balmont wygłosił w Warszawie bardzo interesujący odczyt o Kasprowiczu, którego dzieła zna i przekłada. Mówi o nim z entuzjazmem, widząc w nim twórcę światowej pojemności i najwyższy wyraz genjuszu poetyckiego Polski, równy wieszczom romantycznym. Od czasu Puszkina, który złożył hołd Mickiewiczowi, pierwszy to bodaj wypadek duchowego między poetami tych dwóch narodów pobratymstwa. W sto lat.

---

[1]) O książce tej należy jeszcze powiedzieć, że została u nas nader pięknie wydana i doskonale przetłumaczona.

[2]) *La Pologne contemporaine, Poland of to day, Das heutige Polen. Verlag Telegraphenagentur, Genf 1927.*

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Druga część ostatniego rocznika „Pamiętnika Literackiego" ma treść bogatą i ciekawą. W dziale przyczynków szersze zainteresowanie obudzić mogą zwłaszcza rozprawki: Borowego „Z historji równouprawnienia Żydów w powieści polskiej", Blütha o stosunku Mickiewicza do ruchu literackiego w Rosji, Pollaka o Trentowskim (ciekawe szczegóły o cenzurze pruskiej) i Hahna o genezie „Karpackich Górali". Prawdziwie filologiczną sumiennością celują jak zawsze „Polonolatina" Ganszyńca, które ze względu na swój charakter byłyby może odpowiedniejsze do „Eosa" lub świeżo pozostałego „Kwartalnika klasycznego". Jak Piłat w credo, dostała się do tego działu niewiadomym sposobem „notatka tymczasowa" H. Ułaszyna „Wpływy Słowa o pułku Igora w poezji polskiej"; rzecz ta niechlujna w stylu i treści, nie ma najmniejszej wartości naukowej, gdyż takie „odkrycia", jak to, że Zaleski wspomina często o Bojanie lub że Siemieński przejął parę szczegółów i zwrotów ze „Słowa" do swego poematu „Trąby w Dnieprze" są od dawna znane nawet ze szkolnych podręczników, w których można było ponadto napotkać i inne utwory Siemieńskiego, napomykające np. o Bojanie; że takie szczegóły spotkać można u Mickiewicza („Słowiczku mój"), u Słowackiego (choćby „Król-Duch") lub w młodocianych utworach Kasprowicza i t. d. i t. d., o tem nic nie wie p. U., który za to rozwiódł się nad „Świetozarem" Tuwina, stanowiącym pointę całego artykułu. Obfity jest dział materjałów, począwszy od przekładu Owidjusza, dokonana przez Kuszelowczyka (książka zachowana w jednym egzemplarzu!), a skończywszy na rękopisach Bol. Prusa „O kompozycji"; najciekawsze są tu pozatem listy Norwida do Z. Krasińskiego (opubl. przez J. Ujejskiego) i fragmenty nieznanych tragedyj M. Romanowskiego (wyd. przez B. Gubrynowicza). W dziale recenzyj najdłuższa i nagruntowniejsza wyszła z pod pióra M. Kridla, a dotyczy zbiorowego wydania pisma J. Słowackiego.

(J. B.)

*

Ponownego opracowania ludowych baśni i klechd podjął się niedawno Cz. Kędzierski; wyszły one w dwóch zbiorkach, zatytułowanych (od najbardziej charakterystycznych opowiastek) „Czarnoksiężnik Twardowski" i „Mysia wieża". Źródłem, skąd wzięto przeważną część opowiadań, są „Bajki, klechdy i baśnie" K. Wł. Wójcickiego oraz „Nasze warownie i grody" W. Szalay; ze względu na przeznaczenie dla młodszej dziatwy treść trzeba było nieraz nieco uprościć, z czego wywiązał się Kędzierski doskonale. „Wydawnictwo Polskie" nareszcie zrozumiało potrzebę wprowadzenie bajek rodzimych, gdy dawniej zadowalało się tłumaczeniami, a często i drukiem zagranicznym; okazało się, że polska oficyna Wł. Anczyca potrafi drukować i wykonywać ilustracje nie gorzej, o ile nie lepiej, niż firmy niemieckie. Warto zalecić wydawcom, by nadal doceniając wartość rodzimej baśni i rodzimej sztuki, wznowili wydanie prześlicznych „Bajek" J. I. Kraszewskiego z ilustracjami Andriollego.

*

Artur Górski wydał u św. Wojciecha dramat p. t. „Śluby". Tło dramatu — walka o wolność narodową prowadzona z caratem. Wiele ciekawych postaci, indywidualności niezwykłych, głęboko analizujących czyny i ideały.

U SŁOWIAN

O współczesnej prozie rosyjskiej ciekawe dzieło p. t. „*Pisatieli. Awtobiografiji i portriety sowriemiennych russkich prozaikow. Pod riedakcijej Wł. Lidina*" wyszło z końcem ub. r. w Moskwie w zbiorze „*Sowriemiennyje problemy*", wyd. N. A. Stolar. Gruby, 326-stronnicowy tom obejmuje 64 autobiografje, prozaików wyłącznie w Rosji mieszkających. Do każdej autobiografji dołączony jest wykaz bibljograficzny. Całość dzieła jest cennym przyczynkiem do poznania obecnej literackiej psychiki rosyjskiej, szkoda tylko, że poszczególne rozdziały pisane są bez jakiegokolwiek planu ogólnego, co też wpływa na pewną chaotyczność materjału.

*

Literatury czeska i słowacka otrzymały nowe cenne poglądowe opracowanie. Wyszedł „*Katechismus dejin ceske literatury*", opracowali P. Vasa i A. Gregor (Brno A, Pisa 1927, str. 843, 33). Jest to już drugie wydanie tego dzieła (pierwsze wyszło 1910). Opracowanie materjału, sięgające po koniec r. 1926 jest jasne i zwięzłe, posiada znaczną wartość i w poszczególnych charakterystykach pisarzy, przynosi obok cytatów z dzieł i portrety. Literatura słowacka jest opracowana obszernie i starannie.

*

Do polityki Piłsudskiego w roku 1920 odnosi się ciekawe studjum praskiego Ukraińca S. Szełuchyna pt. „*Warszawskyj dohowir mii Polakamy S. Petluroju 21 kwitnia 1920*" (Praha „Nowa Ukrajina" 1926, str. 40). Teksty obu tajnych umów (politycznej i wojskowej), podpisanych wtedy przez J. Dąbskiego i ze strony Petlury przez A. Liwyćkiego, opatrzone są komentarzem Szełuchyna. Komentarz ten napisany jest z goryczą i irytacją, z zawziętą do Polski niechęcią.

LITERATURA ZAGRANICĄ

Popularny powieściopisarz i feljotonista Jerome K. Jerome ogłosił swe wspomnienia p. n. „*My life and times*". Autobiografje stanowią w Anglji dużą pozycję produkcji wydawniczej — każda niemal wielkość polityki, literatury, sztuki czy... sportu uważa za swój obowiązek opowiedzieć „*urbi et orbi*" koleje, dole i triumfy swego życia. Okazuje się jednak, że pamiętniki autora „*Three men in a bummel*" nie są ani w części tak ciekawe, jak jego dowcipne powieści. Rodzina pisarza straciła majątek i Jerome był zmuszony pędzić przez długi czas „*a jungle existence*" jak to sam nazywa z humorem. Kolejno kosztował zawodu nauczyciela, urzędnika, aktora, dramaturga, literata i wydawcy. Jego powieść „Trzej panowie w łodzi" zdobyła sobie serce nakładcy, który jednak wykreślił bezlitośnie wszystkie poważniejsze ustępy i przerobił utwór na rzecz humorystyczną. Jak bowiem wyznaje sam Jerome K. Jerome miał on zamiar dać w „Trzej panowie w łodzi" jakby żywą historję Tamizy. Powieść w zmienionej formie zyskała znaczny sukces i pozycja Jerome'a ustaliła się odrazu. Dodać należy, że Jerome wracał w późniejszej twórczości do tematów bardziej serjo n. p. w powieści „*All ways lead to Calvary*". „*My life and times*" wyglądają w sumie na płód obliczony na dochód i najwidoczniej „puszczony". Nieliczne ustępy przypominają cięte pióro prawdziwego Jerome K. Jerome'a.

*

P. Jean Aubry, który pozostawał w bardzo blizkich stosunkach z Conradem i przetłómaczył szereg jego dzieł na język francuski, wyda niedługo ostatni utwór wielkiego pisarza, mający nosić tytuł „*Le Frère de la Côte*". P. Aubry napisał obecnie bardzo ciekawą książkę, a mianowicie „Życie Conrada," która niebawem ukaże się w języku angielskim, a z początkiem przyszłego roku we francuskim i równocześnie polskim. Pozatem zaś autor ten, znający doskonale stosunki angielskie, przygotowuje studjum p. t. „*Paul Verlaine et l'Angleterre*", oraz „*La Musique et ses amis*" t. j. szereg szkiców, pomiędzy któremi jeden będzie poświęcony wpływowi, jaki wywarł Szopen na Delacroix. P. Aubry pracuje też nad powieścią „*Les Nuits provinciales*," która zawierać będzie osobiste wspomnienia i przeżycia.

*

Paul Morand, który bawi obecnie w Meksyku, publikuje u Hachette małą broszurą p. t. „*Le Voyage*". W tej samej kolekcji wyszły już poprzednio „Miłość", „Sport" oraz „Prowincja". Nikt oczywiście lepiej od autora „*Rien que la Terre*" nie mógł opisać „Podróży". Broszura ta, zawierająca szereg rad ironicznych i filozoficznych napisana jest w sposób Morand'owi właściwy, pełna niezrównanych porowań i oddaje szalony rytm epoki, w której obecnie żyjemy, a który Paul Morand ze znaną sobie przenikliwością nazywa „*le seul vice nouveau*."

*

P. Gaston Rageot jest również świetnym obserwatorem współczesnej generacji. Poświęca on też jej bardzo interesującą książkę, którą zatytułował dowcipnie „*Sens Unique—Circulation des Idées*" (Plon Edit.). Filozofja jednak tego autora nie jest wesołą, według niego młoda generacja nie posiada ani serca, ani rozumu; brak jej logiki i zdrowego rozsądku. Sarkastyczny pesymizm p. Rageot dochodzi do wniosku, że nie mamy obecnie duszy indywidualnej, ale jest ona fabrykowaną serjami, dlatego też reagujemy w „jednym tylko kierunku," żyjąc wyłącznie na zewnątrz, a zaniedbując kompletnie życie wewnętrzne. Jeżeli autor „*Sens Unique*" jest w swych sądach surowym dla młodzieży, to jednak krytyka jego rozciąga się i na współczesnych rodziców. Społeczeństwo obecnie jest automatem, — pisze on — a dusza jego kodakiem. Każdy ustęp tej książki zawiera bardzo ciekawe spostrzeżenia i jest ona ze wszech miar godna przeczytania, pobudza bowiem do refleksji i głębszego zastanowienia.

*

P. Julien Green jest pochodzenia amerykańskiego, ale wychowany we Francji. Młody ten autor dał się poznać zeszłego roku publikując „*Mont-Cinère*." Wydaje on obecnie, również u Plona nową książkę p. t. „*Adrienne Mesurat*". Jest to historja młodej i pięknej dziewczyny, żyjącej pomiędzy starym, zdziecinniałym ojcem a chorą siostrą. Adrienne Mesurat prowadzi szarą, monotonną egzystencję. Ale przyjdzie chwila, w której potrzeba miłości przejawi się w niej tak silnie, że wszystko dookoła siebie zdruzgoce, stając się monstrualną zbrodniarką. W chwili jednak, w której spostrzeże się, iż człowiek, którego kochała, był dalekim od jej marzeń, postrada zmysły. Młody autor posiada talent prawdziwego powieściopisarza.

TEATR

„FARYS" ST. MIŁASZEWSKIEGO

W TEATRZE Narodowym w Warszawie niezwykłem powodzeniem cieszy się obecnie poemat dramatyczny Stanisława Miłaszewskiego „Farys". Publiczność polska z wdzięcznością wita na scenie skrzydlate słowo poetyckie, znużona najwidoczniej przyziemnością prozy współczesnej. Już raz dokazał tego Miszewski przekładem „Don Juana" Zorilli, który miał przeszło sto przedstawień w jednym ciągu. „Farys" obiecuje teatrowi to samo.

„Komedja romantyczna" Miłaszewskiego snuje w siedmiu obrazach nową wersję legendy o Wacławie Rzewuskim, któremu Słowacki poświęcił dumę, a Mickiewicz „kasydę". Żeby wejść *in medias res* dumy Miłaszewskiego, powiem, co było w obrazie ostatnim.

Był rok 1830. Hr. Wacław jest u siebie na wsi— pewno gdzieś nad Zbruczem. Gotuje się do wyprawy partyzanckiej. „Goniec z Warszawy przyleciał—zawołał: kraj ożył!" Był właśnie „dzień Pańskich narodzin" — że posłużę się wyrazami Słowackiego. „Z przyjaciół swych kołem połamał opłatek i spożył". Słyszy, jak w przyległej komnacie przyjaciele, którzy za chwilę na koń siądą, śpiewają kolendy. Sam przed kominkiem, zanurzywszy głowę w dłonie, trwa w rozmyślaniach. Skupia duszę na czyn ofiany. My wiemy, że Wacław Rzewuski w wyprawie tej zginął pod Daszowem, więc wzrusza nas jego skupienie, może niewolne od przeczuć. Zamyka się żywot dotychczasowy — staje mu w oczach przeszłość.

„Był kiedyś Farysem"!... Sześć pierwszych odsłon— to właśnie ta przeszłość, którą nam Miłaszewski z góry pokazał, abyśmy rozumieli dramatyczność tej ostatniej fali życia.

Postać Wacława Rzewuskiego była legendową dla naszych poetów romantycznych. Ich orjentalizm był literacki i tylko imaginacyjny. Słowacki zdobył się coprawda z wielkim wysiłkiem na podróż orjentalną, ale była to pedanterja. Był już przedtem orjentalistą w dostatecznym na potrzeby poetyckie stopniu (Szanfary, Arab). Podróżował lord Byron, Mickiewicz dotarł do Krymu. Wszyscy wielcy poeci łaknęli motywów orjentalnych w duchu Byrona i Moore'a. Rzewuskiemu, który był poetą w duszy, stepowcem, człowiekiem przytem zamożnym, łatwiej było romantyzm orjentalny robić, niż pisać. Trzy lata (1817 — 1820) spędził w Syrji, gdzie „życie niósł własne w skrzydlatym oszczepie". „Pod palmą spoczywał, pod ciemnym cyprysem — odwiedzał proroka grobowce".

Młodzieniec miał tam miłosne przygody. Słowacki opowiada, że Farys, uchodząc z haremu, dostał od kochanki sztylet; tym sztyletem właśnie zamordował go zbrodniarz w r. 1831. Kochanka zaś z żalu — według Słowackiego — utopiła się w sadzawce. Została nad wodą „biała zasłona", którą twarz kwefiła.

Miłaszewski podjął „białą zasłonę" Słowackiego i odtworzył z niej w czterech obrazach bardzo kunsztowny dramat, który mógłby stanowić samodzielną całość. Autor jednak chciał rozwiązać zagadnienie Farysa nie na gruncie orjentalnym, lecz tam, gdzie się ono zrodziło,— w sercu społeczeństwa polskiego. Wsunął więc w sposób orjentalny jedną bajkę w drugą.

Dzieje ducha układają się w pewne formy, a te dziedziczone w legendzie czas zasuwa jak bajki arabskie jedną w drugą. Rzewuski był już dla siebie legendą w ów dzień wigilijny. Dla Miłaszewskiego nie on jest przedmiotem bezpośrednim, lecz epoka romantyzmu, która w Rzewuskim czegoś szukała. Dla historji literatury już czwartą szufladą legendy będzie Miłaszewski — czego on znowu szukał w legendzie romantyzmu? Będzie to zagadnienie literackie naszej epoki.

W dumie Miłaszewskiego o Farysie umyślnie uwidoczniony jest pryzmat literacki ówczesnej epoki. Poeta brał Farysa nie gołą ręką, lecz przez pogląd epoki; właściwie przedstawił nam po mistrzowsku dramat samego romantyzmu.

Orjentalizm był tylko zewnętrzną przygodą tamtej poezji. Była coprawda wtedy modna pustynia z ładnym koniem i Giaurem, ale moment psychologiczny był wieczny. Poeci, żeby go schwytać we wzruszeniu estetycznem, a więc zmysłowo, wędrowali w różne strony, aby tylko uciec od świata i zaznać choć na chwilę egzaltowanego wzruszenia, że się jest centrem świata. Wędrowali też po morzach, a Malczewski wdarł się na szczyt Mont Blanc. Takie uciekanie od świata i wogóle od rzeczywistości we wszystkich epokach było potrzebą poetów, ale w okresie gwałtownego przesunięcia się ducha na subjektywizm uczuciowy, jak to było w romantyzmie, potrzeba te wyjaskrawiła się przez samą reakcję do poprzedniego rygoru przedmiotowości, wymizdrzonej sentymentem.

W romantyzmie odsłonił się drugi biegun duszy ludzkiej, przeciwstawiony powszedniemu, który się wydawał niepoetycki, a mianowicie temu założonemu społecznie w przymusie życia: z l u d ź m i, d l a l u d z i i p r z e z l u d z i. Drugi biegun stał w słońcu, puszczony w przestworze bez granic; tam człowiek: s a m, d l a s i e b i e i p r z e z s i e b i e. Potrzebna było poecie świadomość uczuciowa, że jest czemś bezwzględnie, oko w oko z nieskończonością. Potrzebna mu była odpowiednia dekoracja, jak step, pustynia, morze lub szczyt góry — nieobjęty horyzont ze słońcem w zenicie, aby doznać uczucia, że się jest z Bogiem (albo przeciwko niemu) sam na sam, i poczucia siły, która ze wszystkiem zmierzyć się może. Stąd zamiłowanie w przygodach.

Literaci musieli zadawalać się samą ideą takich stanów w papierowej symbolice, władała jednak wszystkimi żądza realizowania takiego stanu. Marzył się Farys Mickiewiczowi, spoglądający z pychą ku gwiazdom:

> I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi —
> Wszystkie poglądały ku mnie,
> Bo oprócz mnie n i e b y ł o n i k o g o n a z i e m i.

Romantyzm chciał przezwyciężyć prawo życia i tu był jego dramat nie tylko religijny, któremu kres położył ks. Piotr w III części Dziadów, lecz dramat moralny z bluźnierstwa przeciwko życiu wogóle, a w szczególności narodowemu. Ten moment psychologiczny romantyzmu ujął w formą dramatyczną Miłaszewski. Legł on w osnowę dzieła, — na wątek zaś barwny autor wziął przygody Farysa. Na poetyckość tamtych koncepcyj nałożył własną, pomimo stylizowania romantycznego — oryginalną. Wzruszył go widok ówczesnego porywu ducha poetyckiego, jakby go przeżył osobiście.

Farys doświadczył, że są granice—i to rychłe—bezwzględnej wolności i niezmożoności. Człowiek zwalczy huragan na pustyni, sępa, każdego wroga, ale serce własne schwyta go wreszcie na arkan. A drugie spostrzezenie, że wszystko, co się zrobi dla siebie z żądzy osobistego szczęścia lub z pychy, tchnie pustką.

Najpiękniejszym obrazem „Farysa" jest czwarty, gdzie porywom indywidualizmu uczuciowego przeciwstawia się mądrość życia. Arab starej kultury, książe Dżelaeddin, niepomny ciosu, którego sam doznał od przyjaciela, ratuje go od bankructwa moralnego złotem mądrości:

— Między mnogiemi twemi zwycięstwami niech nie zabraknie zwycięstwa nad twą własną pychą. Tę garść prochu, którą jesteś, zwróć ziemi ojczystej. Połóż kres młodzieńczemu upojeniu własną osobą. Poznasz, stra-

ciwszy zuchwałą butę młodości, że kto siebie samego da, — nie da zamało ojczyźnie.

Farysa nawiedza łaska odrodzenia. Kiedy kochanka usiłuje go zatrzymać przy sobie, obiecując, że szczęściem troskę zagłuszy i że wiecznie żyć będą jako dzieci słońca, nie świata, lecz słońca, wtedy, Farys, chwytając ów motyw słońca, wygłasza przepiękną elegję na temat ruin, które ich otaczają.

— Cóż zostało z owego Thadmoru, który z woli Salomona dźwignął się był z pustki ku słońcu? Pustka go zwyciężyła i dziś piasek pustyni w nim mieszka, jak w szkieletach karawany, które widział Farys Mickiewicza. Marność nad marnościami!

Farys Miłaszewskiego wraca do kraju z duszą posuniętą przez doświadczenia na nowy szczebel kultury, z duszą, z której się rodzą wielkie cywilizacje. Dusza ta ma już słońce od wnętrza, nie zna pustki i marności wysiłku, żądna jest dzieł nieosobistych z osobistej ofiary, dzieł człowieka wiecznego.

Po tych uwagach należałoby zacząć dopiero właściwą ocenę dzieła Miłaszewskiego ze stanowiska teatralnego. Czy dobrze zbudowana? Jeżeli źle, to czy dobrze jest, że robi wrażenie i podoba się publiczności? O tem już wiele pisano, z zastrzeżeniami. Między innemi dowodzono, że akt ostatni, najważniejszy mojem zdaniem, jest zgoła niepotrzebny. Oczywiście każdy z piszących miałby większą przyjemność, gdyby sztukę sam napisał, a zrobiłby to pewno inaczej. Ale takie stanowisko wydaje mi się zbyt teoretycznem wobec faktu, że utwór porywa słuchaczy i cel osiąga środkami wysokiej wartości artystycznej. Na pierwsze miejsce dobywa się urok słowa poetyckiego, gorąco zabarwionego uczuciem.

Miłaszewski ma dar wypowiadania dzisiejszych myśli słowem wynalezionem przez romantykę. Jeżeli w dorobku dziejowym sztuki nic nie ma ginąć, to przedewszystkiem ocaleć powinien dar świeżości słowa; jeżeli czego nie mamy się w romantyzmie wstydzić, to odkrycia, które on uczynił, że nie trzeba się wstydzić uczucia.

Sztuka ostatnich lat dzisiątków wyziębiła teatry. Przemyślne w dowcipie, ale chłodno obliczone na ciekawość rzemiosło teatralne, wzgardziło sposobami działania na uczucie. Stało się to w znacznej mierze wskutek zapatrzenia na sztukę francuską, która jest zawsze intelektualistyczna. Szukano dla rozgrzewki środków raczej fizycznych w celu budzenia wrażeń seksualnych, lub środków kabaretowych dla budzenia wesołości. Ale wzruszenia tego rodzaju są przelotne. Jedynie wielkie uczucia poruszają do głębi i całkowicie system psychiczny. Przez nie, gdy się ma coś do powiedzenia, można publicznością zawładnąć i zdobyć jej wdzięczność. Romantyzm się przestarzał nie dla tego, że operował uczuciem, lecz że chciał nim zastąpić światło rozumu.

Miłaszewski zrozumiał, że synteza, która się teraz dokonywa w życiu umysłowem, wysoko stawia uczucie, jako żywioł twórczy; zrozumiał, że im pewniejsza kultura umysłowa, tem bardziej będzie opanowane słowo w treści myślowej, choćby nagrzane było uczuciem.

Bujność życia uczuciowego jest największym skarbem artysty i uwydatnia się sama w barwie zawsze świeżego słowa. Tuszowanie pierwiastka uczuciowego dla celów t. zw. dyskrecji artystycznej z maniery przeszło niepoznacznie w cyniczne traktowanie uczuć. Kończy się się w sztuce zbrodnią przeciwko duchowi. Miłaszewski, walcząc z tą jednostronnością maniery, znajduje w swojej wytwornej kulturze artystycznej sposób zapobiegania koturnom. Dramat jego porywa słuchaczy bezpośredniością duchowego obcowania z widzem. Miłaszewski powraca do całego w słuchaczu człowieka. Sekretem kultury jego talentu jest to, że robi to z korzyścią dla sztuki i dla publiczności.

Tak pojęty artyzm dźwignąć mógłby scenę na przynależne słowu poetyckiemu stanowisko. Ale takie próby, jak wystawienie Don Juana, Króla Edypa i Farysa pouczają, że do tego potrzebne jest szkolenie na nowo aktorów. Wszystko zmordernizowani artyści wyrazić umieją prócz wielkich uczuć. Jeden Węgrzyn wyznacza poziom, na którym takie rzeczy, jak „Farys", powinny był grane. Nabrzmiałe uczuciem słowo poety traci w ustach wielu aktorów barwę muzyczną. Sprzymierzeńcem autora bez zastrzeżeń stał się p. Drabik ze swemi dekoracjami, budzącemi zachwyt poetycką nastrojowością. Coby się z tą sztuką stało, gdyby się do niej wziął kabotynizm futurystyczny, który przyśpieszał śmierć teatru swoją antyuczuciową postawą w dekoracjach!

Zdrowe instynkty polskiej publiczności szczęśliwie odparły ten najazd barbarzyństwa. Powodzenie „Farysa" świadczy, że te instynkty idą dalej już ofensywnie i wywalczą w sztuce miejsce dla człowieka, który w Polsce chce żyć i tworzyć całą pełnią duszy.

Z. W.

ADRJANNA LECOUVREUR

W TEATRZE Polskim wystawiono w Wielką Środę „Adrjannę Lecouvreur", sześcioaktowy melodramat Scribe'a i Legouvé'go w przekładzie Tadeusza Boya - Żeleńskiego, w inscenizacji Karola Borowskiego, w dekoracjach Frycza.

Przekład, reżyserja, dekoracje, nadewszystko zaś wspaniała gra pani Przybyłko-Potockiej odtwarzającej rolę tytułową, sprawiły — żeśmy wysłuchali tej przestarzałej osiemdziesięcioletniej, mocno myszką trącącej sztuki nie tylko bez znudzenia, ale z zainteresowaniem.

Adrjanna Lecouvreur urodziła się w Paryżu w r. 1690. Była córką rzemieślnika. Od dzieciństwa zdradzała talent aktorski. Z wielkiem powodzeniem występowała w widowiskach amatorskich, następnie trupach wędrownych. Zwróciwszy na siebie uwagę możnych protektorów, dostała się wreszcie do Komedji Francuskiej. Zdobyła majątek i sławę. Słynęła zarówno z talentu, jak i temperamentu. Miała licznych wielbicieli i kochanków. Jednym z tych ostatnich był Herman Maurycy hrabia de Saxe syn naturalny króla polskiego i elektora saskiego Augusta Drugiego Mocnego, jeden z najznakomitszych generałów francuskich wieku osiemnastego i słynny pogromca niewieścich serc. Po śmierci ostatniego z dziedzicznych książąt Kurlandji w r. 1726 — postanowił on opanować to księstwo przy pomocy zaciężnych pułków francuskich. Na prowadzenie wojny potrzebował pieniędzy. Aby mu ich dostarczyć Adrjanna zastawiła swoje klejnoty za sumę 40 tysięcy franków. Ofiara ta nie przydała się na nic, albowiem wyprawa Maurycego zrobiła fiasko. Maurycy — jak nas poucza historja — nie był jedynym kochankiem Adrjanny. Adrjanna z drugiej strony nie była wyłączną miłością Maurycego. Jedną z najsłynniejszych jego wielbicielek była Franciszka Lotaryńska, księżna de Bouillon, która według legendy po jednem z przedstawień Fedry miała Adrjannie posłać na znak hołdu bukiet zatrutych kwiatów. Jest rzeczą pewną w każdym razie, że Adrjanna została otruta.

Scribe znakomity majster sceniczny zmajstrował do spółki z Legouvé'm na tle tej historycznej anegdoty bardzo efektowną na swoje czasy sztukę, wsławioną kreacjami Sary Bernhard i Modrzejewskiej. Sztuka to, dzięki szeregowi świetnych aktorek, które ją odtwarzały, starzała się bardzo powoli i do dzisiej dnia figuruje w programach szkół dramatycznych, ponieważ daje odtwórczyni roli tytułowej rozległe pole do popisu. Nie ma w niej wprawdzie ani poezji, ani pogłębieniu psychologicznego. Walory te zastępione zostały przez Scribe'a zimną kom-

binacją efektów scenicznych i pustą, przesadnie patetyczną retoryką. Wszystkie postacie są albo wyidealizowane albo też „uczernione“ do absurdu. Pomimo to jednak dzięki szeregowi dowcipnie skonstruowanych *„scènes à faire“* daje się jeszcze słuchać z przyjemnością, pod warunkiem wszakże *sine qua non*, że się ją gra po mistrzowsku.

Warunek ten w Teatrze Polskim został spełniony. Pani Przybyłko Potocka największa, obok Ireny Solskiej, ze spółczesnych polskich aktorek potrafiła wprawić chłodną publiczność premjerową w szczery entuzjazm. Oklaskiwano ją z takim zapałem, że artystka dziękowała za owację ze łzami w oczach. Hrabię Maurycego grał bardzo dobrze p. Boelke. Doskonale również odtworzyli swoje role p. Stanisławski (Michonnet — inspicjent Komedji Francuskiej) i pani Sulima — (księżna de Bouillon).

Z.

NOWE KSIĄŻKI

Tadeusz Zieliński Hellenizm a judaizm. Cz. I Warsz. 1927. J. Mortkowicz. Str. 302.

Edward Rosset. Oblicze polityczne ludności m. Łodzi w świetle statystyki wyborczej. Łódź 1927.

Colvin i Bagley. Postępowanie człowieka. Kurs wstępny psychologji dla nauczycieli. Przekład Izy Moszczeńskiej. (Warsz. 1927) Gebethner i Wolff. Str. 216.

Jerzy Ostrowski. Żywa szkoła. (Warsz. 1927) Geb. i Wolff. Str. 268.

Adam Smith. Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów. Tom I. Geb. i W. Str. 274.

Nota sprawy Wilna. Chicago. Grudzień 1926. Str. 14.

Ewa Szelburg. Polne grusze. Powieść. Lwów 1927 B. Połoniecki.

Mieczysław Smolarski. Z wielkiego miasta. Poezje. (Warsz. 1927). Gebethner i Wolff.

Tomasz Strzembosz. Furia divina. Sen o narodzinach Bóstwa. Warsz. 1927. Dom Książki Polskiej.

Karol Stojanowski. Rasowe podstawy eugeniki. Poznań 1927. M. Arct. Str. 77.

Juljusz Zeyer. Andrzej Czerniszew. Powieść Bibl. dzieł wyb.

Magnus Hirschfeld. Seksualizm a kryminalistyka.

Leo Belmont Markiza de Pompadour Powieść.

Gerhard Hauptmann Kacerz Soany. Powieść.

Gustaw Meyrink. U progów zaświata — Cztery powyższe książki wydanie nakładem Instytutu wydawniczego „Renaissance“ w Warszawie.(!)

Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu wydała obecnie:

Jan Ciemniewski ks. dr. Poznania kształcenie charakteru. Wyd. drugie. 2 tomy str. 245 i 318.

Emil Zegadłowicz. Godzina przed jutrznią. Żywot Mikołaja Srebrempisanego. Str. 376.

Marja Czeska-Mączyńska. Opowieści Chrystusowe. Dziecię i mistrz. Wyd. II.

S. Wołkoński. Słowo wyraziste. Zarys badania —mowy w życiu i na scenie. Przeł. M. Szpakiewicz. Str. 240,

Artur Górski. Śluby. Dramat.

Cecylja Plater-Zyberkówna. Kobieta ogniskiem w rodzinie. Wyd. III. Str. 419.

Zuzanna Rabska. Italja i wiosna. Str. 182.

Stanisław Jachowicz. Wiersze i bajki. Zebrała Stef. Posadzowa. Bibl. wych. przedszk. zesz. 7 i 8.

Jacek Woroniecki O. Gawęda o gawędzeniu. Bibl. harcerska nr. 1.

Witold Hulewicz. Przybłęda Boży. Beethoven: czyn i człowiek. Str. 387.

Jul. Verne. Ojczyzna rozbitków. Powieść fantastyczna z 8 ilustr. Przykład K. Bobrowskiej. Str. 468.

Jan Staszkiewicz. Było to pod Smoleńskiem. Powieść historyczna z r. 1812. Z 8 ilustr. Sawiczewskiego. Wyd. II.

W serji tanich powieści wyszły u św. Wojciecha:

Ign. Nikorowicza. Pożar ziemi; Wł. Perzyńskiego Panna ze snu; J. Birkenmajera Opowiadania; Br. Włodkówny Cierpienie i radość; A. Domańskiej Królewska niedola; Kl. Junoszy Abram Pinkt i Mateusz Sikora; Kl. Junoszy Adjutant pana Macieja.

Stanisław Grabski. Kryzys myśli państwowej. Lwów 1927. B. Połoniecki. Str. 175

Tadeusz Michał Nittman. W cieniu palm i minaretów (Marokko). Wrażenia z podróży. Z 35 ilustr. Poznań 1927. Księg. Św. Wojciecha. Str. 222.

NA MARGINESIE

Staruszek „Czas“ przechodzi powtórnie młodość. Tak rozmiłował się w masońskiej ideologji internacjonalizmu, jak to niegdyś się zdarzało uczniakom, którzy łyknęli Kautsky'ego. Parafrazując autora francuskiego, który w obrazku codziennego życia wykazał, że wszystko, co jest w użyciu powszedniem, pochodzi w całości lub częściowo „z zagranicy“, przedstawia z ironją ciężkie położenie nacjonalisty polskiego, „obożnego" Sikory, który musi stwierdzić to samo. Chcąc niechcąc jest jednak internacjonalistą! Wiele trudu literackiego ten dowcip kosztował, ale śmieje się z niego tylko redakcja „Czasu“. Chodzi nie o towary, lecz czy p. Sikora ma duszę polską: polską uczuciowość, dążenia, cele, ambicję, honor. Gorsza jest owa „interdependencja“ duchowa, która z Polski samej robi towar dla obcych, a z ludzi — rabów, wysługujących się obcym cywilizacjom. Chodzi o ten indyferentyzm moralny, który jak trafnie powiedział Wł. Grabski o „Czasie“ — „godzi się zawsze na wszelkie warunki egzystencji Polski“. Można używać bawełny z Luizjany, ale nie godzi się myśleć mózgiem żydowskim, ulegać dążeniom z inspiracyj wiedeńskich, czy berlińskich.

*

Dzienniki żydowskie („Nasz Przegląd“) uskarżają się, że socjaliści zamaskowali podstępnie żydowskość Feliksa Perla (posła i redaktora „Robotnika“), który właśnie teraz zmarł. Mianowicie gdy przyszło do pogrzebu, przy pomocy bojówki swojej uprowadzili żydowski karawan rytualny i schowali, a trumnę wieźli przez Warszawę na katafalku chrześcijańskim, spowitą w czerwony całun socjalistyczny. W ogłoszeniu o pogrzebie Perla nie było wymienione wyznanie, ani miejsce, gdzie będzie pochowany, a prowadzono go przecież z pompą wśród lasu czerwonych sztandarów—na cmentarz żydowski. Organizacja socjalistyczna, chcąc nadać pogrzebowi charakter manifestacyjny i ściągnąć do pogrzebu większą ilość ludu roboczego katolickiego, nie mogła ryzykować pogrzebu żydowskiego, więc urządziła i po śmierci wodza maskaradę.

Najmniej o tę maskaradę mogą mieć pretensji żydzi sami. Sprawia ona im ból, gdy poniewiera ich przepisy rytualne, ale czemuż drwią sobie z bólu społeczeństwa, któremu stale urządzają taką maskaradę w sprawie nieraz decydującej o jego bycie. Też na cudzym rydwanie, też spowinięci dla niepoznaki w domina — całuny barw dowolnych. Gdy trzeba, na poczekaniu zmieniają wyznanie i nazwiska... Czemże jest cały socjalizm, jak nie maskaradą żydowską?

*

Polemizując z zarzutem niekonstytucyjności, jaki prezes komisji kostytucyjnej Sejmu, prof. Stanisław Głąbiński postawił okólnikowi językowemu ministra oświaty Dobruckiego, pisze p. Stefan Grosstern („Epoka“, nr. 109): „Zarządzenia szkolne mają być zrozumiałe dla uczniów, chodzi o zawiadomienia tej treści, jak odłożenie wykładu, przerwa w lekcjach, organizacja wycieczki, a nie o prawa państwowe, ogłaszane dotychczas wyłącznie w języku państwowym“.

To słóweczko „dotychczas“ jest niezrównane. Czyż p. Grosstern ma podstawy do przypuszczeń, że już wkrótce prawa państwowe zaczną być ogłaszane także w żargonie?

*

Obóz sanacji moralnej zaczyna spostrzegać, że jednak przydałby się jakiś elementarz. To też „Przełom,“ organ Związku naprawy Rzpltej przystępuje do formułowania sobie elementarnych pojąć o polityce. Wykład zaczyna się popularniej, niż to się robi na kursach dla posterunkowych. Oto próbka (nr. 11 z 14 kwiet.):

„Polityka jest jedną z naturalnych funkcyj w życiu państwowem. Polityk jest człowiekiem równie państwu potrzebnym, jak szewc lub doktór, i stąd działalność polityczna nie może nikomu ujmy przynosić.“ Że doktór bywa państwu potrzebny, tego mamy przykłady, ale czyżby i szewc? Dobrze jednak wiedzieć, że sprawami państwa może zajmować się i...polityk. I to, że „polityk jest człowiekiem“ i że nawet takie zajęcie go nie hańbi. *Discite pueri!* Chociaż, prawdę mówiąc, na to żeby państwo okrawać i rujnować, nie trzeba być politykiem. Wystarczy spełniać „naturalną funkcję“ klijenta cudzej polityki.

*

Jak donosi „Epoka“ (nr. 105) „w dniach 12-15 b. m. odbywał się w salach „Sanato“ w Zakopanem międzynarodowy zjazd delegatów Y. M. C. A.“ W imieniu Polski między innymi brał udział w obradach „dyrektor polskiej Y. M. C. A. z Warszawy p. Super.“ Należy przypuszczać, że w imieniu Łotwy, Grecji, Rumunji, Turcji i t. d. brali udział inni Amerykanie — dyrektorzy z Rygi, Aten, Bukaresztu, Angory... I to również należy przypuszczać, że delegaci występujący „w imieniu“ tak różnych narodowości, potrafili obradować w atmosferze wzajemnego zrozumienia i najpełniejszego zaufania.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski“, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM